

ALEKSANDRA
MARININA
męskie
gry



Aleksandra Marinina (1957) urodziła się we Lwowie w rodzinie prawników. Mieszkała w Leningradzie, potem przeniosła się do Moskwy; tam ukończyła szkołę muzyczną oraz wydział prawa. Po studiach rozpoczęła pracę w milicji, gdzie zajmowała się edukacją i badaniami w dziedzinie kryminologii. W roku 1992 ukazało się *Stieczenje obsojatielstw* (Zbieg okoliczności), pierwsza z cyklu powieści o major Anastazji Kamieńskiej. W 1998 roku Aleksandra Marinina odeszła z milicji w randze podpułkownika i poświęciła się całkowicie karierze pisarskiej. Do dziś dwadzieścia pięć jej powieści – przetłumaczonych m.in. na język włoski, francuski, niemiecki, szwedzki, a także chiński, japoński i koreański – osiągnęło łączny nakład trzydziestu milionów egzemplarzy. Cykl o major Kamieńskiej doczekał się także ekranizacji przez rosyjską telewizję NTW.

ALEKSANDRA

MARININA

męskie
gry



w serii ukazały się:

Jean-Claude Izzo *Total Cheops*

Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*

Marek Krajewski *Widma w mieście Breslau*

Henning Mankell *Fałszywy trop*

Henning Mankell *Morderca bez twarzy*

Henning Mankell *Piąta kobieta*

Henning Mankell *Biała lwica*

Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*

Aleksandra Marinina *Męskie gry*

Aleksandra Marinina *Śmierć i trochę miłości*

Aleksandra Marinina *Gra na cudzym boisku*

Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*

ALEKSANDRA

MARININA

męskie
gry

przełożyła ELŻBIETA RAWSKA

Patronat medialny:



Tytuł oryginału: *Мужские игры*

Copyright © A. Marinina, 1997

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2004

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2004

Wydanie I

Warszawa 2005

ROZDZIAŁ 1

- No cóż, jeśli nie ma do mnie pytań w sprawach bieżących, na tym skończymy.

Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, którego podwładni między sobą nazywali czule Pączkiem, prowadził swoją ostatnią odprawę operacyjną jako szef sekcji zabójstw. Jeszcze dziś miał objąć wyższe stanowisko w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Jego dotychczasowi pracownicy będą podlegać nowemu zwierzchnikowi.

Ów nowy też tu był, uczestniczył w odprawie od samego początku, zapoznawał się ze sprawami, przejmował gospodarstwo. „Ciekawe – myślała Nastia Kamińska – czy chociaż w przybliżeniu zdaje sobie sprawę, jak bardzo go tutaj nie chcą?” Nowo mianowany szef, na to przynajmniej wyglądało, nie miał o tym pojęcia, gdyż spoglądał na obecnych z życzliwym, a nawet nieco protekcjonalnym uśmiechem, jakby mówiąc: no cóż, kochani, rozumiem, jakeście tu żyli pod rządami tego starego grubasa, ale od dziś wszystko będzie inaczej, nie bójcie się.

Ani sama Nastia, ani jej koledzy wcale nie chcieli, żeby było „inaczej”. Rozumieli jednak, że skoro nie mają wpływu na sytuację, będą musieli po prostu zmienić stosunek do niej. Tak, nowy rok zaczynał się niezbyt radośnie.

- Teraz przedstawię panu pracowników – powiedział pułkownik Gordiejew. – Podpułkownik Paweł Wasiljewicz Żerichow, zastępca szefa sekcji.

Niewysoki, przygarbiony Żeriechow uniósł się z krzesła i skinął głową. Jego pokryta przedwczesnymi zmarszczkami twarz nie wyrażała niczego oprócz znużenia i obojętności. Ale wszyscy pracownicy sekcji wiedzieli, że za tą pozorną obojętnością kryje się niemal fizyczny ból. Gordiejew zawsze był dla Żeriechowa kimś więcej niż po prostu przełożonym.

- Starszy oficer operacyjny, major Jurij Wiktorowicz Korotkow. Uwielbia pracować od bladego świtu do późnego wieczora, a także w niedziele i święta.

To była prawda. U Korotkowa w domu panowało istne piekło, więc Jurij starał się bywać tam jak najkrócej i jak najrzadziej.

- Starszy oficer operacyjny, major Nikołaj Michajłowicz Siełujanow. Najlepszy topograf w MUR-ze*, świetnie zna miasto, wszystkie ulice, ślepe zaułki i przechodnie podwórza. Półtora miesiąca temu miał wypadek samochodowy, dlatego jeszcze trochę kuleje. Proszę nie wyznaczać mu na razie zadań związanych z dużym wysiłkiem fizycznym, by mógł całkowicie wrócić do zdrowia. Starszy oficer operacyjny, major Anastazja Pawłowna Kamieńska. Sugerowałbym wykorzystanie jej zdolności analitycznych. Dla mnie opracowywała comiesięczne raporty o sytuacji operacyjnej w Moskwie. Mam nadzieję, że po moim odejściu ta praktyka nie zostanie zarzucona. Oficer operacyjny, kapitan Igor Walentinowicz Lesnikow... Oficer operacyjny, kapitan Michaił Aleksandrowicz Docenko...

Gordiejew przedstawiał pracowników, dodając na temat każdego kilka słów związanej informacji. Wszyscy kolejno wstawali, niektórzy usiłowali nawet przywołać na twarz coś w rodzaju powitalnego uśmiechu, ale większość zebranych nawet nie próbowała okazywać fałszywej uprzejmości. Pączka wszyscy lubili i jego odejście było dla nich bardzo przykre. Nowy zwierzchnik nie znajdował uznania w ich oczach

* MUR (Moskowskij ugołownyj rozysk) - Moskiewski Wydział Kryminalny (przyp. tłum.).

już przez sam fakt, że nie jest Gordiejewem. Z pewnością zresztą miał i inne wady...

Po zebraniu wszyscy rozeszli się do swoich pokojów i nie minęło dwadzieścia minut, a w budynku przy Pietrowce 38 nie zostało prawie nikogo z pracowników sekcji. Pracy było, jak zwykle, dużo: w ciągu czterech świątecznych dni na początku roku ponury proceder pozbawiania życia tych, którzy z jakichś powodów nie podobają się czy przeszkadzają innym, nie uległ zawieszeniu, przeciwnie, nasilił się w związku ze wzmożonym spożyciem alkoholu. Szczególnie groźne здавало się pojawienie w Moskwie kolejnego maniaka – seryjnego mordercy. Świadczyło o tym dobitnie siedem trupów; zwłoki odnaleziono w różnych punktach miasta. Wszystkie ofiary uduszono w identyczny sposób: przestępca atakował od tyłu, uciskał tętnicę szyjną napadniętego, żeby odciąć dopływ tlenu do mózgu, a następnie zdejmował nieprzytomnej już ofierze szalik albo chustkę i dusił nimi, tym razem aż do skutku. Zamordował czterech mężczyzn i trzy kobiety; ludzie ci nie mieli ze sobą nic wspólnego, nie znali się nawzajem, nie pracowali razem, nie wiązały ich żadne interesy. Wiek poszkodowanych – od dwudziestu siedmiu do czterdziestu dziewięciu lat. Czas dokonania przestępstwa – po dwudziestej trzeciej. Miejsce – bramy domów. Zwykle takie sprawy Gordiejew powierzał Nasti Kamieńskiej, gdyż wymagały one starannej i dogłębnej analizy, bez której, jak pokazuje praktyka, nie sposób wpaść na trop zabójcy maniaka. Dzisiaj Pączek, „zapomniawszy” jakby, że już nie kieruje sekcją, zlecił zajęcie się tymi sprawami Nasti, Sielujanowowi i Miszy Docence. Nowy szef podczas zebrania nie wyraził sprzeciwu, co wcale jednak nie oznaczało, iż nie zmieni decyzji Gordiejewa. Teraz on tu rządzi i wszelkie dyrektywy swego poprzednika może mieć za nic.

Drzwi trzasnęły i do gabinetu Nasti wpadł Jura Korotkow. Bez słowa chwycił z biurka klucze, zamknął drzwi od wewnątrz i dopiero potem usiadł naprzeciwko Anastazji, przysunąwszy sobie wolne krzesło.

- Co ty wyprawiasz? - zdziwiła się Kamińska.

- Sz-sz-sz. - Korotkow przyłożył palec do ust. - Szeptem, bardzo proszę. Nowy dziedzic wyruszył na obchód swoich włości. Ludzie się rozbiegli, zostaliśmy tylko my dwoje. Udawajmy, że nas też nie ma, bo jeszcze się przyczepi, zacznie pogaduchy... Panisko, niech go cholera.

Nastia w milczeniu wzruszyła ramionami i zapaliła papierosa. Nie była zwolenniczką odkładania nieprzyjemnych spraw na później. Jeśli nie można ich uniknąć, lepiej jak najprędzej mieć wszystko za sobą. Jeszcze na uniwersytecie, mimo panicznego strachu, zawsze podchodziła do egzaminów w pierwszym terminie i tylko raz nie weszła do sali w pierwszej piątce zdających. Chodziło o egzamin z prawa międzynarodowego. Zdawała go u groźnej pani profesor, damy, której wszyscy bali się jak ognia, gdyż było powszechnie wiadomo, że stara panna wprost nienawidzi dziewcząt, studentek, zwłaszcza niebrzydkich i dobrze ubranych. Ta nienawiść przenosiła się także na młodych ludzi płci męskiej, którzy, rzecz oczywista, najchętniej kręcą się właśnie wokół dziewcząt urodziwych i eleganckich. Krótko mówiąc, pani profesor piątek nie stawiała nikomu, a szansę na czwórkę miały osoby najbardziej niepozorne i niedbale odziane. Reszta musiała się zadowolić trójkami bądź otrzymywała dwóje. Rzeczywista znajomość materiału nie miała żadnego znaczenia. Nastia stała wówczas na korytarzu, starając się odsunąć moment nieuniknionej egzekucji, ale kiedy z auditorium kolejno zaczęli wychodzić ci, którzy zdali, pomyślała: „Mają już wszystko za sobą. Szczęściarze! A ja tu stoję i wciąż nie wiem, co mnie czeka. A, niech się dzieje, co chce...”.

- Jeśli dziedzic chce poznać swoich poddanych bliżej, i tak to robi - powiedziała cicho. - Nie wywinimy się.

Na korytarzu rozległy się kroki, ktoś mocno pchnął drzwi, a potem poruszył klamką. Nastia i Korotkow zamarli. Po chwili usłyszeli ciche stukanie. Tak zwykle pukali koledzy, którzy wiedzieli, że Nastia ma zwyczaj zamykać się na klucz,

żeby w spokoju popracować. Jura zrobił ostrzegawczy gest: nie otwieraj, to na pewno szef, nikt ze swoich. Człowiek za drzwiami postać jeszcze chwilę, potem odszedł.

- Jurka, to głupie - szepnęła Nastia. - Zachowujemy się jak dzieci. Niechby już lepiej wszedł i powiedział, co ma do powiedzenia.

- Nie jestem w nastroju do towarzyskich pogawędek - burknął Korotkow. - Słyszałaś o zabójstwie Wawiłowa?

- Słyszałam. Zajmuje się tym wydział regionalny, ten, w którym dawniej pracował. Jak długo Wawiłow był na emeryturze?

- Około trzech miesięcy. Nie wiem, co mu się w pracy nie podobało, że odszedł. Zatrudnił się w banku - i oto skutki. A moja Lalka wciąż mi wierci dziurę w brzuchu, żebym się zwolnił ze służby i wreszcie zaczął zarabiać jakieś ludzkie pieniądze. Wydaje jej się, że jak tylko zrzucę mundur, to od razu zacznę przynosić do domu bajońskie sumy w dolarach. A to, że po przejściu do innej branży mogę nie przeżyć trzech miesięcy, jakoś dziwnie jej nie niepokoi.

- Daj spokój, Jura. Ona po prostu tego nie rozumie. Widzi przecież dookoła siebie żywych i dobrze sytuowanych ludzi, skąd może wiedzieć, jak często giną z cudzej ręki? To ty i ja co dzień mamy z tym do czynienia, a Lalka patrzy na życie inaczej. Nie czeplaj się jej. A propos, trzeba by zadzwonić do Władika Stasowa i powiedzieć mu o Wawiłowie, przecież kiedyś razem pracowali. Stasow na pewno będzie chciał pójść na pogrzeb.

- Wiesz co, wprośmy się do niego z wizytą. Podobno dają tam bardzo dobre ciasto - zaproponował Korotkow.

- Podobno. - Nastia uśmiechnęła się. - I jeszcze słyszałam, że nawet bez nas trudno się tam obrócić. Troje dorosłych i Lilka na dodatek, ma teraz ferie szkolne, więc całymi dniami sterczy u boku ukochanych cioteczek Tani i Iry.

- No, skoro ich jest czwórka, zmieścimy się i my. Cicho, chyba znów słyszę kroki.

Jura nie mylił się, korytarzem rzeczywiście ktoś szedł i znowu przystanął pod drzwiami. Klamka się poruszyła, po czym rozległo się energiczne pukanie.

- Anastazjo Pawłowno, proszę otworzyć.

Korotkow pokręcił przecząco głową, ale Nastia szybko wstała, umyślnie głośno trzasnęła drzwiczkami sejfu i przekręciła klucz w zamku. W progu stał nowy szef, Władimir Borisowicz Mielnik.

- Zamyka się pani przed przełożonymi? - zapytał zresztą bez żadnej złośliwości.

- Przed osobami niepowołanymi - krótko wyjaśniła Nastia. - Przeglądaliśmy zebrane materiały. Sam pan wie, że instrukcja w sprawie zachowania tajemnicy...

- Tak, tak, oczywiście - przerwał jej Mielnik. - Przepraszam, że przeszkodziłem. Ale skoro już mnie pani wpuściła, może porozmawiamy o pani pracy analitycznej. Czy mogę przejrzeć raporty, które pani opracowywała dla Gordiejewa?

Nastia w milczeniu otworzyła sejf i wyjęła stamtąd grubą teczkę z kopiami raportów.

- Tu są materiały z ostatnich dwóch lat. Jeżeli potrzebuje pan wcześniejszych opracowań, też mogę panu dać. Mam je w innej teście.

- Na razie nie, dziękuję. Na początek zapoznam się z tymi. Ale niech mi pani powie tak, z pamięci, ilu nieschwytych morderców grasuje po Moskwie?

- Mniej więcej trzy setki.

- Aż tyle? Straszne u was nieporządki - próbował zażartować nowy szef.

- Przepraszam. Staramy się, jak możemy - odparła sucho Nastia.

Nie miała nastroju do żartów, zwłaszcza z Paniskiem (wyglądało na to, że powstałe już pierwszego dnia przewisko ma wszelkie szanse, by się przyjąć na dobre wśród podwładnych). Władimir Borisowicz jednak okazał, że ma dość wyczucia, i od razu zarzucił wymuszony lekki ton.

- Rozumiem, że trudno się wam rozstać z Wiktorem Aleksiejewiczem - rzekł nieoczekiwanie ciepło - i że przez jakiś czas będę się spotykał z niechęcią z waszej strony. Nie czuję się dotknięty, sam bywałem w podobnych sytuacjach, i to nieraz. Jak sądzicie, czy wypada, żebym się przyłączył do was dziś wieczorem? Wiktor Aleksiejewicz mnie zaprosił, ale mam wrażenie, że będę tam zbyt czyny. Z drugiej strony, nieładnie by było zlekceważyć zaproszenie. Co mi radzicie?

Nastia nie potrafiła ukryć zdziwienia. Jak widać, Panisku nieobce jest poczucie taktu i umiaru! Rzeczywiście, Gordiejew zaprosił dziś wszystkich pracowników sekcji do siebie do domu na wieczór pożegnalny. Mielnik także znalazł się w ich liczbie. Z punktu widzenia taktyki wdrażania się do obowiązków szefa to miało sens - stwarzało możliwość bliższego poznania podwładnych, równocześnie jednak stanowiło pewne zagrożenie, jeśli chodzi o zachowanie właściwej hierarchii w stosunkach służbowych - nowy zwierzchnik nie powinien już pierwszego dnia pić ze swoimi pracownikami, gdyż mogłoby to prowadzić do zbyt dużego spoufalenia. Wiktor Aleksiejewicz urządził swemu następcy mały egzamin: jeśli przyjmiesz zaproszenie, weźmiesz udział we wspólnej popijawie i zachowasz się niestosownie, znaczy, żeś duren i idziesz na łatwiznę; jeśli nie przyjmiesz, wystraszysz się - jesteś przewidujący, przezorny, ale tchórzliwy. Ale skoro przyjdiesz, będziesz pił razem ze wszystkimi, a mimo to potrafisz zachować dystans - znaczy, że się nadajesz, można cię zaakceptować. Mielnik chyba nie był pewien, jak postąpić, i szukał moralnego wsparcia u dwojga podwładnych, którzy akurat się nawinęli.

- Zlekceważyć zaproszenia nie można, co do tego ma pan rację - ze źle ukrywaną złośliwą satysfakcją powiedział Korotkow. - Zwłaszcza że ludzie mogą pomyśleć, że nie umie pan pić, i pańskie akcje od razu spadną. Wiktor Aleksiejewicz daje panu szansę zaprezentowania się i zdobycia naszego szacunku.

- No cóż... - rzekł z uśmiechem Panisko. - Skoro tak pan stawia sprawę, to oczywiście przyjdę. Chciałem się zachować taktownie, rozumiem przecież, że jestem dla was człowiekiem obcym, którego niechętnie się widzi w wąskim gronie przyjaciół. Ale skoro zamiast serdecznego pożegnania z szefem zamierzacie mi urządzić oględziny, nie mam prawa się uchylać. Wszyscy rano otrzymali zadania do wykonania, więc o szóstej po południu proszę mi zameldować, co zostało zrobione, a co nie, i dlaczego. Tymczasem żegnam.

Nastia i Korotkow w osłupieniu patrzyli na zamykające się za Mielnikiem drzwi.

- A jednak - odezwał się w końcu Jura. - Facet z charakterem.

- Czy ja wiem... Ciekawe, czy ten popołudniowy raport ma w repertuarze przez cały sezon, czy tylko dziś, w dniu premiery?

- Zobaczymy. Dobra, Aśka, będę leciał, roboty mam po uszy. Chciałaś może czegoś ode mnie?

- Obiecałeś mi informacje na temat poprzednich miejsc pracy wszystkich ofiar dusiciela w ostatnich pięciu latach. Ponieważ oficjalnie powinni się tym zajmować Sielujanow i Miszka, a nie ty, ja też mogę coś dla ciebie zrobić, żeby się odwdziżyć.

- Napisz za mnie sprawozdanie z delegacji, dobrze? Opowiedziałem ci ze szczegółami o wszystkim, co działałem w Krasnodarze. A mnie tyle wysiłku kosztuje ta pisanina, że coś straszego! Wolałbym zająć się jakąś pożyteczniejszą robotą. Na przykład twoimi uduszonymi.

- Zgoda - mruknęła Nastia.

Tak, za czasów Gordiejewa często tak robili. Dla Pączka zawsze najważniejszy był rezultat, więc pozwalał podwładnym tak dzielić pomiędzy siebie zadania, żeby sprawy posuwały się szybko, sprawnie, a wszelkie działania przynosiły konkretny skutek. Ale jak się do tego odniesie Panisko? Wiktor Aleksiejewicz traktował ze zrozumieniem fakt, że Korotkow, podobnie zresztą jak Kola Sielujanow, nie cierpi

papierkowej roboty i każde zdanie pisemnych raportów wydusza z siebie z niewiarygodnym wręcz trudem, tracąc na to mnóstwo sił i czasu. Doskonale wiedział, że bardzo często pisze je za niego Kamieńska, której przychodzi to bez najmniejszego wysiłku. Anastazja natomiast, znana ze swego fantastycznego wprost lenistwa i niechęci do jeżdżenia po mieście, wiele razy korzystała z usług kolegów przy zdobywaniu rozmaitych informacji.

*

Dzień mijał jak zwykle. Dopiero o siódmej wieczorem zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Na biurku Nasti zabręczał dzwonek wewnętrznego telefonu i głos Paniska zapytał:

– Czy dysponuje pani roczną informacją w rozbiciu na okręgi?

– Na razie nie. Wszystkie potrzebne materiały są gotowe, trzeba je tylko zebrać razem i sporządzić wykresy ułatwiające porównanie – odparła Nastia, z całych sił starając się ukryć zdumienie.

– Taka informacja potrzebna mi jest natychmiast. Ma pani na jej przygotowanie dwadzieścia minut.

I koniec. Ani cienia wątpliwości, że polecenie zostanie wykonane. Ale jak to zrobić? Trzeba czym prędzej znaleźć wolny komputer, i to nie pierwszy z brzegu, tylko taki, w którym są programy umożliwiające tworzenie wykresów i tabel. Miotając się po ogromnym budynku GUWD* w poszukiwaniu komputera i błagając, by dopuszczono ją do niego chociaż na pół godziny, po czym w gorączkowym pośpiechu układając tekst i wprowadzając dane potrzebne do opracowania wykresów, Nastia, pełna wątpliwości, zadawała sobie w myślach pytanie: ale właściwie po co to wszystko? I czemu tak nagle? Najwidoczniej przyszedł z ministerstwa kolejny okólnik, szykuje się kolegium podsumowujące całoroczne wyniki. Żadnego innego wytłumaczenia dla nacisku

* GUWD (Głównoje uprawnienije wnutriennych dzieł) – Główny Urząd Spraw Wewnętrznych (przyp. tłum.).

zwierzchnika Nastia nie potrafiła znaleźć. Roczna informacja, na której przygotowanie dostała dwadzieścia minut, do niczego więcej nie mogła być potrzebna. I to jeszcze w rozbiściu na okręgi... Chociaż, z drugiej strony, chyba to nie dla ministerstwa, ministerstwo zajmuje się Rosją jako całością, a więc dane dotyczące okręgów miejskich nie mają dla niego znaczenia. Tam rozpatruje się wszystko w skali całych obwodów. Najprawdopodobniej zatem chodzi o kierownictwo GUWD. Co też zresztą wydaje się zaskakujące, jako że kierownictwo GUWD nigdy specjalnie się nie interesowało pracą analityków. To znaczy, oczywiście, stwarzało pozory, że jest inaczej, i zatrudniało specjalistów w tej dziedzinie, ale poziom owej analityki był... ech, szkoda gadać. Sam fakt, że kierownictwo całkowicie zadowolony ten stan rzeczy, świadczył o tym, że nie stawia wielkich wymagań i nie wiąże z pracą analityków szczególnych nadziei, raczej lekceważy ją, ceni bardzo nisko i nie dostrzega w niej żadnego sensu. Musiało się więc rzeczywiście wydarzyć coś ekstra, jeśli żądano tak pilnie materiału analitycznego.

Oczywiście w wyznaczonym przez zwierzchnika czasie Nastia się nie zmieściła. Z dwudziestu przydzielonych na wykonanie zadania minut piętnaście upłynęło na poszukiwaniach wolnego komputera. Po dalszych pięciu major Kamieńska, jako osoba zdyscyplinowana, zadzwoniła do Paniska i zameldowała, że informacja nie jest jeszcze gotowa, a ona Nastia, potrzebuje na ukończenie pracy dodatkowych dwudziestu, może dwudziestu pięciu minut. Panisko milczał chwilę, po czym oznajmił, że czeka na możliwie jak najszybsze dostarczenie materiału, ale głos miał taki, jakby się właśnie dowiedział, że przez cały rok nie będą mu wypłacać pensji. Nastia rozumiała niezadowolony szefa i denerwowała się, że opóźnia wykonanie pilnego zadania, co nie pozwalało jej się skupić – myliła się, a to wprawiało ją w jeszcze większą irytację. W końcu materiał został opracowany, Nastia wydrukowała go, włożyła arkusze do teczki i pomknęła do gabinetu Mielnika. Trzydzieści metrów przed drzwiami

zwolniła kroku, usiłując wyrównać oddech, by nie pojawić się przed obliczem szefa zaczerwieniona, rozczochrana i zasapana, tym bardziej że w pokoju może być również ktoś obcy.

Zapukała dyskretnie, po czym weszła do gabinetu, który tak wiele lat zajmował Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, i osłupiała. Za biurkiem, na miejscu Gordiejewa, siedział oczywiście Władimir Borisowicz Mielnik, ale w tym akurat nie było nic dziwnego. Jednakże człowieka, który zajął jedno z krzeseł stojących przy stole konferencyjnym, Nastia absolutnie nie spodziewała się tu ujrzeć, chociaż wiedziała, że bywa na Pietrowce, i to nierzadko. Czyżby to ze względu na niego Panisko tak ją poganiał? Nie, to niemożliwe, pomyślała Nastia. Lonia na pewno przyszedł w jakichś swoich sprawach, a konieczność pilnego przedstawienia materiałów analitycznych wyniknęła niezależnie. Obie rzeczy po prostu zbiegły się w czasie.

- Proszę bardzo, Władimirze Borisowiczu - powiedziała, podchodząc do biurka szefa i podając mu teczkę z materiałami.

- Bardzo długo to trwało - rzekł sucho Mielnik. - Czy w pani pododdziale zawsze notuje się taki poziom operatywności?

- Nie, zwykle bywa jeszcze niższy - podobnym tonem poinformowała Nastia. - Dzisiaj starałam się pracować szybciej, żeby zrobić dobre wrażenie. Towarzyszu pułkowniku, gdyby na moim biurku stał komputer, dane byłyby gotowe w ciągu dziesięciu minut. Musiałam jednak szukać miejsca, gdzie mogłabym wykonać zadanie. Lwią część czasu, który mi pan wyznaczył, straciłam na bieganinę po korytarzach.

Usiłowała nie patrzeć na Leonida Pietrowicza. Zapomnieć, że to jej ojczym. Że to mąż jej matki. Zapomnieć, że to człowiek, który ją wychowywał od najmłodszych lat i którego ona gorąco kochała, i całe życie nazywała ojcem. Zapomnieć, że widzieli się zaledwie kilka dni temu, a w najbliższą sobotę

mama i Lonia oczekują jej razem z mężem na obiedzie. Nastia było nieprzyjemnie, że została skarcona w obecności ojczyrna.

- Czy mogę odejść, Władimirze Borisowiczu?

- Tak, proszę. - Mielnik kiwnął głową, nie patrząc na Anastazję.

Nastia wróciła do swego pokoju, w środku cała aż kipiąc z wściekłości. Żeby chociaż powiedział „dziękuję”, palant. Ciekawe, czy wie, co ją łączy z Lonią, czy nie. Raczej nie, w przeciwnym razie niewątpliwie rzuciłby jakiś trywialny żarcik na ten temat. Nastia nie miała jeszcze na razie okazji przetestowania poczucia humoru nowego zwierzchnika, ale w głębi duszy była już przekonana, że dowcipy Paniska muszą być płaskie.

Próbowała wziąć się w garść i uspokoić. Włożyła grzałkę do wysokiego porcelitowego kubka z wodą i włączyła do kontaktu. Trzeba się napić kawy i wrócić do równowagi. Boże, dlaczego Pączek od nich odszedł? Odszedł, pozostawiając ich na pastwę tego... Zaczęła w myśli szukać dostatecznie zjadliwego epitetu, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Panisko, nic dodać, nic ująć. Trudno o lepsze określenie.

Woda w kubku właśnie zaczęła wrzeć, kiedy drzwi się otworzyły. W progu stał Leonid Pietrowicz. Wyglądał jednocześnie na zmieszanego i rozbawionego.

- Cześć, tatku - powitała go Nastia z uśmiechem. - Napijesz się kawy?

- Może być.

Ojczym zdjął kożuszek, rzucił go niedbale na wolne biurko w kącie i podszedł do Nastii, żeby ją ucałować.

- Ejże, jesteś cała spocona - skostatował zatroskany, dotknąwszy ustami jej czoła. - Coś ci dolega?

- Nie, nie przejmuj się. To z tego całego zamieszania i ze złości. No i jak ci się podobał nasz satrapa? Dwadzieścia minut, choćbyś miał stanąć na głowie. Nie wiesz, skąd nagle taki pożar?

- Dziecko, nie gniewaj się... - Leonid Pietrowicz był wyraźnie zmieszany. - To dla mnie.

- Co dla ciebie? - nie zrozumiała Nastia. - Te dane dla ciebie?

- No tak. Bywam przecież u was regularnie co miesiąc i proszę o wszystkie materiały, które można wykorzystać w toku nauczania. Chodzi o jak najlepszą ilustrację różnych zagadnień, konkretne przykłady. Przyszedłem do Gordiejewa, nic nie wiedziałem, że od dziś macie nowego szefa. Wspominałaś mi, że Wiktor ma odejść, ale nie sądziłem, że tak szybko... Słowem, wchodzę do gabinetu, patrzę - a tu jakiś nieznajomy. Przedstawiłem się i wyjaśniłem, po co przychodzę. A ten od razu zaczął naciskać guziki i wydawać dyspozycje. Słowo daję, że go o to nie prosiłem, a tym bardziej nie nalegałem, żeby materiały dostarczono mi w ciągu dwudziestu minut. To była jego inicjatywa.

- No jasne - rzuciła ze złością Nastia. - On wykazał inicjatywę, a ty z zadowoleniem ją podtrzymałeś. Pewnie ci się bardzo spodobało, że on z twojego powodu naciska guziki i każe ludziom wychodzić z siebie, chociaż to wcale nie jest konieczne. Tatku, nigdy cię nie podejrzewałam o takie jaśniepańskie zapędy. Dlaczego go nie przystopowałeś? Mogłeś powiedzieć, że to nic pilnego. Albo po prostu zrezygnować i wyjść. Czemu pozwoliłeś, żeby się na mnie wyżywał? I w ogóle dlaczego do niego poszedłeś? Przecież wiesz, że te zestawienia robię ja, i zawsze brałeś je właśnie ode mnie, a nie występowałeś o nie drogą oficjalną.

- Dziecino, nie złość się. Skąd mogłem wiedzieć, że to dla ciebie taka skomplikowana sprawa?

- Nie chodzi o to, czy skomplikowana, czy nie! - wybuchnęła. - Nawet jeżeli nie, dlaczego miałbyś pozwolić mu się zgrywać na Bóg wie jakiego ważniaka? Czy ciebie samego to nie mierzi? Przecież to typowe maniery surowego bossa, obrzydliwe, chamskie zagrana, a ty jeszcze go podkrećcasz i z satysfakcją uczestniczysz w tym przedstawieniu!

Przepraszam cię, tatuśku, ale po tobie nigdy bym się tego nie spodziewała.

Leonid Pietrowicz uśmiechnął się pojednawczo i sięgnął po papierosa.

- Przestań już, dziecino - powiedział spokojnie. - Mielnik nie przypadł ci do gustu, to widać na kilometr, dlatego wszystko masz mu za złe. Tyle lat pracujesz pośród samych mężczyzn i jeszcze się nie nauczyłaś, co to takiego męskie gierki. Tak, facet ma satysfakcję, że może naciskać guziki i wydawać polecenia, które muszą być niezwłocznie wykonane. No i co w tym złego? Tak, mnie też było przyjemnie, że dla mnie, kierownika katedry, twój szef tak się stara. Jesteśmy mężczyznami, mamy swój punkt widzenia, swoje zasady. Nie powinnaś nas za to potępiać. I przestań zachowywać się arogancko wobec zwierzchnika, to nieprofesjonalne. Musisz umieć się opanować. No co, skończyłaś już na dziś?

- Na razie nie. Jeszcze wcześniej. Mam kupę spraw do załatwienia.

- Może jednak? Podrzuciłbym cię do metra. Co?

- Nie, tatuśku. - Nastia też już zaczęła się uśmiechać.

- Dzięki. Popracuję jeszcze trochę. Poza tym Pączek wydaje dziś bal pożegnalny, wybieramy się wszyscy do niego.

- Nie zapomniałaś o sobocie?

- Ale skąd! - zachnęła się Nastia. - Loszka o niczym innym nie marzy, tylko o twoich smażonych kurczętach.

- Kiedy leci?

- Za tydzień.

- Na trzy miesiące?

- Trochę mniej. Wraca pod koniec marca.

- Nie będziesz tęsknić?

Nastia podniosła na ojczyrna zdziwiony wzrok.

- Tato, przecież mnie znasz.

- Znam, znam - westchnął Leonid Pietrowicz. - Chodzisz jak kot własnymi drogami. Nawet za mamą nie tęskniłaś, kiedy mieszkała za granicą. Dobrze, jeżeli nie chcesz ze mną jechać, to już pójde. W sobotę o piątej, nie zapomnij.

Ucałował Nastię, włożył kożuszek i wyszedł.

Zrobiło jej się smutno. Oto jak nowy szef zaczyna pokazywać pazurki. Oczywiście, to miłe, że nie lekceważy metod naukowych, co od dawna uchodzi za rzecz w dobrym tonie, i potraktował poważnie sprawę dostarczenia materiałów dla katedry działań operacyjno-śledczych jednej z wyższych uczelni milicyjnych. Kto inny skrzywiłby się tylko i próbował się jakoś wykpić od prośby natręta, ale on – nie. Cóż, czas pokaże, jaki jest naprawdę Władimir Borisowicz Mielnik. Chociaż Gordiejew i tak był lepszy. Gordiejew to Gordiejew. Nie wypada go nawet porównywać z nikim innym.

Około ósmej wieczór zjawił się Jura Korotkow z miną niepewną i zaniepokojoną. Piętnaście minut szczegółowo relacjonował Nastii życiorysy ofiar tajemniczego dusiciela. Nastia słuchała uważnie, notowała, stawiała jakieś znaczki w swoich wykresach. Dotychczas nie natrafili na żaden trop. Nie było ani jednej cechy wspólnej, która łączyłaby wszystkie siedem zabójstw. Oprócz tej, naturalnie, że dokonano ich późnym wieczorem w opustoszałych bramach.

Nastia sprzątnęła papiery z biurka i wstała.

– Na razie nic nie mamy, Jurik. Dobra, jedźmy do Pączka, może pod wpływem alkoholu jakaś odkrywczą myśl przyjdzie nam do głowy.

*

Ogrzewanie w samochodzie działało sprawnie, więc mimo ostrego mrozu kierowca i pasażer byli w rozpiętych paltach i bez rękawiczek.

– No cóż, gratuluję pierwszych absolwentów – mówił pasażer, zwrócony bokiem do kierowcy. – O ile wiem, wszystko poszło dobrze. Jak zamierzacie przeprowadzić kolejną rekrutację?

– Z tym właśnie są problemy, Witaliju Arkadjewiczu. Mój zastępca nalega, by zastosować inne zasady naboru. Upiera się też przy innym systemie kształcenia. Nie mam argumentów, które pozwoliłyby mi go przekonać.

- Jak to nie masz argumentów? - zdziwił się pasażer.
- Czy uwieńczona sukcesem metoda nauczania, zastosowana wobec pierwszej grupy to niewystarczający argument?

- Niestety, nie. Na razie nie - uściślił kierowca. - Absolwenci zdali jedynie końcowy egzamin, ale jak się sprawdzą, że tak powiem, w warunkach polowych, nie wiadomo. Chciałbym wierzyć, że obejdzie się bez wpadek.

- A co sugeruje twój zastępca?

- Zielenin jest przeciwny temu, żeby przygotowywać ludzi w systemie koszarowym. Uważa, że zakłóca się w ten sposób proces socjalizacji, że z chwilą gdy wyizolowuje się człowieka ze społeczeństwa i zwykłego, codziennego życia, staje się on oderwany od rzeczywistości, nieprzystosowany. Osobiście nie jestem zwolennikiem takiego poglądu, ale mój zastępca od wielu lat zajmuje się nauczaniem i trudno mi się z nim spierać. Zaczyna przytaczać takie przykłady... Krótko mówiąc, chciałbym prosić, żeby pan podjął decyzję w tej sprawie.

- Jaką znowu decyzję? Ty jesteś szefem. Ty rządysz. Nie potrafisz swojego zastępcy przywołać do porządku? Jeżeli nie, to żaden z ciebie zwierzchnik.

- Witaliju Arkadjewiczu, to nie takie proste. Zielenin cieszy się dużym poparciem w pańskim środowisku. Proszę pamiętać, że to nie ja go wyszukałem - pan mi go polecił. I powiedział pan, że Zielenin to kandydat pańskiego szefa. Byłbym zobowiązany, gdyby pan jakoś doszedł do porozumienia z Zieleninem.

- Dobrze, pogadam z nim. Ale tobie też coś powiem: to nie w porządku, kiedy szef boi się swojego zastępcy. Powinno być na odwrót. Zatrzymaj się na rogu, dalej pójde pieszo.

Witalij Arkadjewicz ocieźżale wygramolił się z samochodu i nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę dużego budynku przy Nabrzeżu Krasnopriesnieńskim. Dwadzieścia minut później siedział już w swoim gabinecie, wyłożonym dębową boazerią.

- Przejrzy pan pocztę, Witaliju Arkadjewiczu? - zapytała urodziwa sekretarka.

- Odlóż to - zarządził, popierając swe słowa władczym gestem - i zrób mi herbaty, bo zmarłem. Z warsztatu nie dzwoniли w sprawie samochodu?

- Dzwoniли. Trzeba wymienić przerywacz. Wieczorem wóz będzie gotowy.

- To dobrze. - Skinął majestatycznie głową. - Niezręcznie mi już fatygować znajomych, wciąż prosić o podwiezienie.

Sekretarka wyszła, a Witalij Arkadjewicz chwilę się zastanawiał, po czym podniósł słuchawkę bezpośredniego telefonu.

- Wasiliju Walerianowiczu - rzekł oficjalnym tonem - pozwoli pan, że przyjdę?

Tak w ogóle to Wasilij Walerianowicz był dla niego po prostu Wasią, ale Witalij Arkadjewicz znał obyczaje swego szefa, który lubił rozmawiać przez głośno mówiący telefon. I jeśli w tej chwili w gabinecie Wasi ktoś akurat był, to wcale nie musiał wiedzieć, że dwóch pracowników agend rządowych łączy tak nieformalne stosunki.

Wasilij Walerianowicz, wysoki, chudy, z długą, pobrużdżoną twarzą i w okularach w grubej oprawie, przywitał go uśmiechem, który miał na zawołanie. Uśmiechał się zawsze, nawet kiedy był zły, ba, wściekły. Uśmiech był jakiś krzywy. Nieliczni tylko wiedzieli, że to następstwo mikrowylewu sprzed kilku lat.

- Muszę z tobą pogadać o programie - zaczął Witalij Arkadjewicz, usadowiwszy się w niewygodnym, za twardym fotelu. - Pierwszy etap został zakończony, pora przejść do drugiego. I tu wyłaniają się pewne problemy.

- Jakiego rodzaju?

- Stojanowowi nie układają się stosunki z twoim protegowanym, Zieleninem. Mają odmienne koncepcje co do metod realizacji programu. Trzeba by zniwelować te różnice poglądów, Wasia, zanim obaj wezmą się za łby. Powiedz, masz wobec tego Zielenina jakieś zobowiązania?

- Naturalnie - wycedził przez zęby Wasilij Walerianowicz.
- Inaczej bym go nie polecał. O jakie różnice poglądów chodzi? Nie są zadowoleni z uposażenia, tak?

- Nie idzie o pieniądze, Wasia. Pensje mają jednakowe. Rzecz w podejściu do całego przedsięwzięcia. Na pierwszym etapie pozwoliliśmy Stojanowowi realizować je tak, jak to sam proponował. Teraz Zielenin upiera się przy tym, że sposób rekrutacji kadr i metody kształcenia muszą być zmienione. Stojanow...

Witalij Arkadjewicz zawahał się. Nie chciał być nieszczerzy wobec Wasilija, znali się zbyt długo i zbyt dobrze, by się bawić w kotka i myszkę. Ale żeby Stojanow, jego protegowany, podpadł, także nie chciał.

- No więc co Stojanow? - zniecierpliwiał się Wasilij.

- Odniosłem wrażenie - zaczął znów ostrożnie Witalij Arkadjewicz - że Stojanow zgadza się ze swoim zastępcą. Rozumiesz? W głębi duszy się z nim zgadza. Uznaje jego racje. Ale nie chce tego przyznać głośno. No, sam wiesz, takie tam męskie gierki. Nie wolno zgadzać się z zastępcą, który zajmuje przeciwne stanowisko. To niesłuszne z punktu widzenia tego, kto sprawuje władzę. Dlatego Stojanow chce, żeby decyzja przyszła z góry. Wtedy będzie mógł zachować twarz.

- Widzisz go! - mruknął Wasilij. - I kto niby miałby wydać tę decyzję? Chodzi ci o to, żebym ja to zrobił?

- A któż by inny? Oczywiście że ty. Zielenin to twój człowiek. Moje słowo dla niego nic nie znaczy.

- A Stojanow - twój - przypomniał Wasilij.

- Ale ty kierujesz realizacją programu. To był twój pomysł, twoje ukochane dziecię. I ty, Wasia, powinienesz rozstrzygnąć, w jaki sposób przeprowadzić drugą rekrutację. Tak jak chce Zielenin czy tak jak Stojanow.

Wasilij Walerianowicz, który dotąd przechadzał się w zamysleniu po obszernym gabinecie, stanął i przysiadł na skraju długiego biurka.

- Witalij, rozumiem, o co ci chodzi. Boisz się wziąć na siebie odpowiedzialność, ponieważ nie czujesz się w tej

dziedzinie profesjonalistą. Ale i ja także nie jestem kompetentny. Właśnie dlatego postawiliśmy na czele tego przedsięwzięcia Stojanowa i Zielenina, którzy dobrze znają się na rzeczy. Ani ty, ani ja nie możemy rozsądzić, który z nich dwóch ma rację.

- Ale zmarnować drugiej rekrutacji także nam nie wolno - wtrącił Witalij Arkadjewicz.

- No właśnie. - Wasilij kiwnął głową. - Dlatego trzeba podjąć strategiczną decyzję. Myślę, że bez względu na to, jak będzie przeprowadzona druga rekrutacja, my nie powinniśmy narażać na szwank samej idei programu. Nie zapomnij, że wprowadziłem go opracowałem, ale pieniądze na realizację dają inni. Jeśli nie będzie dotacji, nie będzie programu. Zielenin to nie po prostu mój człowiek. Polecili mi go sponsorzy naszego przedsięwzięcia. I jeśli Stojanow zacznie z nim wojować, wyjdzie nam to bokiem.

- Ale Stojanowa też nie należy się pozbywać - skontrował Witalij Arkadjewicz. - Facet ma dojścia do samej góry, dobrze o tym wiesz.

- Wiem.

Wasilij Walerianowicz znów podjął spacer po gabinecie.

- Dlatego proponuję...

Już po upływie kilku minut Witalij Arkadjewicz wyraźnie poweselał. To, co przedstawił jego stary przyjaciel, było skomplikowaną, wielowątkową intrygą, ale pozwalało uporać się z problemem, który jeszcze niedawno wydawał się niemal nierozwiązywalny.

*

Pierwszy cios trafił w szczękę, i Nikita od razu poczuł na przygryzionym języku smak krwi. Nie zdążył się jeszcze odezwać, kiedy nastąpił drugi cios, a za nim - trzeci. Teraz bili go w brzuch. Dwóch trzymało Nikitę za ręce, trzeci metodycznie wymierzał jedno uderzenie za drugim.

- No i co? - zapytał jeden z tych, którzy go przytrzymywali. - Wystarczy? Czy mamy kontynuować?

Nikita w milczeniu kiwnął głową. Dłużej nie wytrzyma bicia.

- Czego kiwasz? Kontynuować, tak?

- Nie - wydusił z trudem. - Nie trzeba. Powiem.

Napastnicy posadzili go na kanapie. Dwaj usiedli tuż przy nim, po bokach, tak by zdążyć go chwycić, gdyby zaczął się szarpać. Trzeci, ten, który przed chwilą go bił, zajął się teraz czym innym - otworzył dużą torbę i wyjął z niej najpierw niewielki dyktafon, a potem wideo. Dyktafon postawił na stole obok kanapy, kamerę zaś zarzucił sobie na ramię.

- Zaczynaj. Najpierw się przedstaw, podaj imię i nazwisko, rok urodzenia i adres. Potem będziesz odpowiadał na pytania.

- Nikita Mamontow... - wybełkotał niezrozumiale napadnięty.

- Wyraźniej! Głośno i wyraźnie. Jeszcze raz.

Nikita zebrał wszystkie siły. Nie rozumiał, czego od niego chcą ci ludzie. To znaczy, rozumiał, oczywiście. Od razu na wstępie oznajmili, czego chcą, ale on nie mógł pojąć, na co im to potrzebne. Jeszcze gdyby byli z milicji... Ale nie, to niemożliwe. Z milicją miał już do czynienia.

- Nikita Mamontow, rok urodzenia tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy, mieszkam w Moskwie, ulica...

- No proszę, już lepiej - pochwalił go szeptem ten, który siedział z lewej.

- Byłeś przesłuchiwany w sprawie o zabójstwo na Dworcu Pawleckim?

- Tak.

- W którym roku?

- W zeszłym.

- Konkretniej - zażądał ten, który stał przed nim z kamerą.

- W dziewięćdziesiątym piątym.

- Czyli w zaprzyszłym - uściślił siedzący z prawej. On także mówił szeptem.

- No tak - posłusznie zgodził się Nikita.

- Dlaczego cię nie posadzili?
- Nie było dowodów.
- Opowiedz dokładnie, co się zdarzyło.
- Mieliśmy czekać na pociąg...
- Co za „my”? Powiedziałem: dokładnie.

Nikita opowiadał o dokonanym przed półtorarokiem zabójstwie, przeklinając w duchu wszystko na świecie, a zwłaszcza siebie, swoją słabość. Bał się bólu, nigdy nie brał udziału w bójkach, i stosując przemoc fizyczną, można było z niego zrobić szmatę. Wtedy, w dziewięćdziesiątym piątym, przesłuchiowano go wiele razy, ale tamto wytrzymał bez trudu. Był niegłupi, miał dobrą pamięć i sporo sprytu, toteż nie płatał się w zeznaniach, twardo obstawał przy swoim, szybko pojąwszy, że bezpośrednich dowodów brak, a gliniarze tylko czyhają na jakąś jego pomyłkę, żeby się czegoś ucześcić i go wrobić. Ale on nie pozwolił się na niczym przyłapać, więc go wypuszczono, sprawcy zabójstwa zaś zostali niewykryci. Od chłopaków nasłuchiwał się różnych strasznych opowieści, jak to w milicji biją, i wiedział, że jeśli go uderzą choćby tylko dwa razy, od razu pęknie. Ale jakoś go nie bili. I to Nikitę uratowało.

A dzisiaj zjawili się ci trzej, wykręcili mu ręce i zaczęli go młócić. Okropnie bolało, i w ogóle strasznie się przeraził. Więc opowiedział im wszystko.

*

Nastia bardzo się bała, że wieczór pożegnalny u Gordiejewa będzie smutny, ale jej przewidywania na szczęście się nie sprawdziły. Ton nadał sam Wiktor Aleksiejewicz, który wciąż żartował, zwłaszcza na temat, że kiedy kota nie ma w domu, myszy harczą.

- Wiem, wiem - przygadywał - cieszyć się z całego serca, że wreszcie sobie pójdę i przestanę się was czepiać, dokuczać wam swoimi zawyżonymi wymaganiami. Pod rządami nowego szefa będziecie w końcu mieć spokój.

Nowy szef już był obecny, ochoczo przyłączał się do żartów Gordiejewa i wykazał się żywym, autentycznym poczuciem humoru. Nie bał się też wychylić kielicha, pił równo ze wszystkimi, ale działania alkoholu w ogóle nie było po nim widać.

Ponieważ – oprócz żony Gordiejewa, Nadieždy Andriejewny – Nastia była w towarzystwie jedyną kobietą, zaofiarowała się, że pomoże gospodyni. W pewnej chwili, gdy myła talerze przed podaniem gorącego dania, została w kuchni sama. Skończywszy ze zmywaniem, już miała wrócić do pokoju, ale nieoczekiwanie zmieniła zamiar. Ogarnął ją nagły smutek, w gardle coś nieprzyjemnie ścisnęło, łzy nabiegły do oczu, więc Nastia naląła sobie szklanekę wody i zapaliła papierosa. Chciała też odpocząć chwilę od hałasu.

– Znowu się pani chowa? – rozległ się za jej plecami głos Mielnika.

Odwróciła się, przywołując na twarz uprzejmy uśmiech. Panisko stał obok niej, trzymając w rękach kieliszek i szklaneczkę.

– Wypijmy, Anastazjo Pawłowno – powiedział, podając jej szklanekę. – To martini. Uprzedzono mnie, że nic innego pani nie pija.

Nastia nie miała ochoty pić, zwłaszcza z Paniskiem. Ale nie wypadało odmówić. Wzięła więc szklaneczkę i spojrzała pytająco na zwierzchnika.

– Za co wypijemy?

– Za panią i za mnie.

– To znaczy?...

– Za panią i za mnie, tak jak powiedziałem – powtórzył Mielnik z uśmiechem. – Za to, żeby pomiędzy mną, pani nowym szefem, a panią, najlepszym analitykiem na Pietrowce, współpraca jak najlepiej się układała. Wiem, że cieszy się pani zasłużonym autorytetem pośród kolegów, i od pani zdania w dużym stopniu zależy, jak oni będą się do mnie odnosili. Dlatego nasze stosunki służbowe powinny być na-

prawdę dobre i oparte na wzajemnym zrozumieniu. Proszę, niech pani za to ze mną wypije.

No cóż, pomyślała Nastia, przynajmniej szczerze stawia sprawę. Z właściwym sobie męskim szowinizmem zawsze uważa kobietę za najslabsze ogniwo łańcucha, dlatego też sądzi, że jest ona łatwą zdobyczą. Przeciagnąwszy na swoją stronę najpierw ją, potem zabierze się do innych podwładnych, tych o bardziej podatnym, łagodnym usposobieniu, i wreszcie sprawi, że stopniowo ilość przejdzie w jakość, a gdy już sobie zapewni poparcie większości, łatwo przekabaci i resztę.

Uniosła lekko szklaneczkę i wypila martini, nie trącając się z szefem. Powinna się przynajmniej uśmiechnąć, ale jakoś nie miała nastroju...

Panisko opróżnił kieliszek jednym haustem.

- Cóż to, pije pani, nie stuknąwszy się nawet, jak na stypie? - zażartował.

- Przepraszam, jakoś odeszłam od tych zasad - usprawiedliwiła się Nastia.

Mielnik postawił kieliszek obok zlewozmywaka i otworzył piecyk. Słaby dotąd zapach pieczonego mięsa od razu buchnął z duchówki i rozszedł się po całej kuchni.

- Według mnie, jest już gotowe - powiedział. - Poprosić Nadieżdę Andriejewnę czy poradzimy sobie sami?

- Zaraz wszystko zrobię.

- Pomogę pani - ochoczo zaofiarował się Panisko, zdejmując z haczyka grube kuchenne rękawice. - Kobieta o takich delikatnych dłoniach nie powinna dźwigać ciężkiej, gorącej brytfanny. Chciałem to pani powiedzieć jeszcze rano, ale wciąż jakoś nie było okazji. Ma pani niezwykle piękne ręce, Anastazjo Pawłowno.

Nastia z niedowierzaniem spojrzała na szefa, a potem przeniosła wzrok na swoje dłonie.

- Cóż to, próbuje pan ze mną flirtować? - zapytała.

- A czemu to panią dziwi? Czyżby inni mężczyźni tego nie robili?

Nastia pomyślała z niechęcią, że Panisko ucieka się do starych, tanich chwytów, a ona nie bardzo potrafi radzić sobie w takich sytuacjach. Rzeczywiście mężczyźni rzadko prawili jej komplementy, co tam rzadko – prawie nigdy. Oczywiście, okazywali jej podziw i szacunek, ale to zwykle wiązało się z pracą, ze sprawami, które prowadziła. Kiedyś dostała nawet ogromny bukiet róż, lecz kwiaty przysłał członek mafii, żeby ją prosić o pomoc w wykryciu poważnego przestępstwa. Innym razem dostarczono jej do domu piękne mieczyki w wielkim kryształowym wazonie, ale to także był prezent od mafii, tyle że takiej, której – przeciwnie niż pierwszej – zależało na tym, by Nastia nie angażowała się w śledztwo. Bywało, że zapraszano ją do restauracji, niekiedy przyjmowała te zaproszenia, niekiedy zaś odmawiała, ale zawsze wiązało się to z koniecznością spotkania się z kimś czy rozmowy w sprawach służbowych. Tak że komplementy Nastia słyszała najczęściej nie z ust gorących wielbicieli (których zresztą nigdy nie miała), lecz od osób zainteresowanych w tym, by dobrze ją do siebie usposobić.

- Nie – powiedziała spokojnie, choć z trudem ukrywała rozdrażnienie – mężczyźni ze mną nie flirtują. Pewnie dlatego, że wiedzą, że mam męża, z którym nie wytrzymałoby konkurencji. Zatem nawet tego nie próbują.

- A więc to tak!

Panisko przysunął sobie taboret i usiadł obok Nasti, bardzo blisko. Tak blisko, że kolanem niemal dotykał jej biodra.

- I dlaczegoż to pani mąż jest taki niebezpieczny? Ma mistrzostwo świata w kick-boxingu?

- Władimirze Borisowiczu, nie zamierzam rozmawiać z panem o moim mężu. Jeżeli interesuje pana formalna strona zagadnienia, proszę wziąć moją teczkę personalną z działu kadr, tam znajdzie pan wszystkie informacje.

- A jeśli interesuje mnie strona nieformalna?

- O tej rozmawiam tylko z najbliższymi. I bardzo proszę nie patrzeć na mnie w tak znaczący sposób. Dawno już mam za sobą lata, kiedy robiło to na mnie wrażenie.

Mielnik wybuchnął śmiechem. Śmiał się z całego serca, wesoło, zaraźliwie.

– Jest pani naprawdę czarująca, Anastazjo Pawłowno! Dlaczego wszędzie węszy pani podstęp? Czy ktoś kiedyś w życiu tak bardzo pani oszukał, że jest pani gotowa w najbardziej niewinnych postępkach czy słowach dopatrywać się podłości i próby wyrządzenia pani krzywdy? Proszę brać sprawy prościej, a sama pani zobaczy, że tak o wiele łatwiej się żyje. Pani nawet nie dostrzega, że swoją nieustanną podejrzliwością zraża do siebie ludzi, którzy wcale źle pani nie życzą.

Położył dłoń na ręce Nasti, która na ten poufały gest po prostu osłupiała. Ręka Mielnika była ciepła, ale Anastazji, która z powodu kłopotów z krążeniem prawie zawsze miała zimne dłonie, wydała się gorąca jak poduszka elektryczna.

– Przypominam, że miał się pan zająć pieczeniem – zwróciła uwagę szefowi, wstając gwałtownie i usuwając się na bok.

Mielnik także się podniósł i znów włożył rękawice. Wyjął brytfannę z piecyka, zgrabnie przełożył wielki kawał pieczeni na deskę, po czym zaczął krajać mięso na równej grubości plastry i układać je na przygotowanym półmisku. Stał plecami do Nasti, która właśnie miała niepostrzeżenie wymknąć się z kuchni, kiedy zatrzymał ją głos Paniska:

– Anastazjo Pawłowno, czekałem na panią dzisiaj długo po szóstej, ale pani nie raczyła się pokazać, chociaż była pani jeszcze w pracy. Czy mam to uważać za swego rodzaju demonstrację, czy też pani po prostu zapomniała?

– Byłam punktualnie o szóstej, ale nie zastałam pana w pokoju.

– Wezwał mnie generał i wróciłem do siebie dziesięć po szóstej.

– Ale ja nie mogłam przewidzieć, że to sprawa kilku minut. Drzwi gabinetu były zamknięte, więc z czystym sumieniem wróciłam do swego pokoju. Pomyślałam, że jeśli będę panu potrzebna, sam mnie pan wezwie.

- Proszę mi powiedzieć, czy w waszej sekcji zwykło się uważać takie usprawiedliwienie za wystarczające?

- W naszej sekcji nikt nigdy nie musiał się usprawiedliwiać przed szefem z takiego powodu - sucho odparła Nastia.
- Wiktor Aleksiejewicz doskonale rozumiał, że wywiadowca nie może zaplanować rano dnia pracy w taki sposób, żeby punktualnie o szóstej zjawić się z raportem. To specyficzna robota. Żeby przyjść dokładnie o szóstej, musiałby zakończyć pracę mającą na celu wykrycie przestępstwa o trzeciej, po czym zamknąć się w pokoju i wypełniać papierki. Dlatego jeżeli o wpół do piątej znajdzie świadka, za którym ugaśniał się od dwóch tygodni, i doprowadzi do tego, że ten się wreszcie rozgada, to piętnaście po piątej będzie musiał mu powiedzieć: przepraszam, obywatelu, bardzo dobrze nam się rozmawia, ale musimy odłożyć pogawędkę do jutra, bo mam szefa despotę.

Mielnik z nożem w ręku odwrócił się do Nasti. Na jego twarzy malowała się ciekawość, niczym u entomologa, który obserwuje nieznanego mu dotychczas owada.

- A pani w ogóle się nie boi zwierzchników?

- Nie. W ogóle się nie boję. Przepracowałam ponad dziesięć lat z Gordiejewem i przyzwyczaiłam się do myśli, że dobry szef to taki, którego człowiek szanuje, a nie boi się go. Poza tym nie obawiam się też, że mnie wyrzucą.

- Czyżby? - Mielnik uniósł brwi. - Tak dalece czuje się pani niezastąpiona?

- Nie o to chodzi. Dopóki pracowałam u Gordiejewa, myśl o odejściu napawała mnie strachem. I rzeczywiście bałam się zrobić coś nie tak, naruszyć jakieś przepisy, żeby nie wylecieć z pracy. A teraz jest mi wszystko jedno. Proszę mnie właściwie zrozumieć, Władimirze Borisowiczu. Nie chcę pana obrazić, ale jest mi obojętne, kto będzie moim szefem, jeśli nie będzie nim Gordiejew. Dlatego pana także się nie boję. Jeśli nie ułoży nam się współpraca - odejdę.

- Do Zatocznego? Czy też ma pani w odwodzie jeszcze jakichś generałów?

To już był cios poniżej pasa. Siedział tu, wdzięczny się, przyciskał kolanami, wypytywał o męża, udawał, że nic o Nastii nie wie, a tymczasem, jak widać, nieźle się przygotował, zebrał informacje, a nawet krążące plotki.

Nastia zastanawiała się, jak odpowiedzieć sensownie, a jednocześnie bez niepotrzebnej arogancji, ale właśnie w tej chwili przybiegła z pokoju żona Gordiejewa, Nadieżda Andriejewna.

- O Boże, zagadałam się z Miszeńką i zupełnie zapomniałam o mięsie!

- To nic, Nadieżdo Andriejewno - zapewnił wesoło Mielnik - strześliśmy go tu pilnie razem z Anastazją Pawłówną, żeby nie przegapić właściwego momentu.

Cofnął się od stołu i teatralnym gestem wskazał wielki prostokątny półmisek, na którym leżały równo ułożone platy mięsa.

- Proszę bardzo, droga pani, można podawać.

Nadieżda Andriejewna wzięła półmisek i zaniósła go do pokoju. Nastia wymknęła się za nią, zadowolona, że w naturalny sposób udało się przerwać rozmowę, która przybrała tak nieprzyjemny obrót. Ostatni wszedł do pokoju Panisko i od razu wdał się w pogawędkę z Gordiejewem. Do końca wieczoru nie odezwał się do Nastii i nawet nie patrzył w jej stronę. A ona nie wiedziała, czy się z tego powodu cieszyć, czy raczej niepokoić.

ROZDZIAŁ 2

Nikita leżał na kanapie odwrócony do ściany, z kolanami podciągniętymi niemal pod brodę. Jego dręczyciele dawno już sobie poszli, bez złości wymierzając mu na pożegnanie parę kuksańców. Całe ciało miał obolałe, oddychał z trudem, przygryziony język wciąż jeszcze krwawił, pozostawiając nieprzyjemny, metaliczny posmak w ustach.

Tamci nagrali wyznanie na dyktafon i taśmę wideo – i zmyli się. Kim byli? Dlaczego przyszli? Do czego im potrzebna jego relacja?

Pierwszą myślą oczywiście było, że są z milicji. Rozważywszy jednak sprawę, Nikita doszedł do wniosku, że coś tu się nie zgadza. Jeżeli gliny mogą ot tak, po prostu, włamać się do mieszkania, dać człowiekowi wycisk i zmusić go do zeznań, to dlaczego zrobili to teraz, a nie półtora roku temu? W tej chwili cała sprawa jest absolutnie nieaktualna. O facecie, którego załatwił na Dworcu Paweleckim, wszyscy już dawno zapomnieli. Dzisiaj nawet o zabójstwach różnych gwiazd i wielkich polityków nikt nie pamięta dłużej niż dwa miesiące. A jeśli to ludzie działający na zlecenie jakiegoś ugrupowania mafijnego, to na cholerę jest komu potrzebny po półtora roku?

Dlatego następna myśl, która przyszła Nikicie Mamontowowi do głowy, wydała mu się o wiele słuszniejsza. Upomnieć się o swego mogli tylko jego koleżkowie. Nie spodobalo się im, że w stolicy ktoś wykończył ich kumpla, i postanowili dać zabójcy nauczkę. Oczywiście milicyjne dochodzenie wcale im nie było na rękę, a fakt, że odłożono sprawę na półkę, mógł ich tylko cieszyć, ale działania milicji to jedno, natomiast prywatne, wewnątrzmafijne porachunki to całkiem inna bajka. Niech no tylko ten łobuz, który załatwił naszego kolesia, nawinie nam się pod rękę!

Przy takim podejściu do sprawy półtoraroczna zwłoka nie wydawała się niczym nadzwyczajnym. Członkowie struktur kryminalnych kierują się własną, odmienną niż milicyjna, logiką. To gliny zawsze się śpieszą, naczałstwo ich pogania, prokuratorzy nie dają spokoju. A ci z mafii rozliczają się między sobą inaczej. Wtedy, kiedy jego, Nikitę Mamontowa, wysłali na Dworzec Pawelecki, pomiędzy dwiema grupami gra była prawie wyrównana; zamiejscowi byli minimalnie górą – i załatwienie jednego z nich doprowadziło do remisu. Teraz zaś, po półtora roku, przewagę mogli uzyskać ci

z Moskwy, więc ich „konkurencja” posłużyła się Nikitą jako kartą przetargową.

Przypomniał sobie oficera operacyjnego z Pietrowki, który go wtedy obrabiał. Wyciągał z niego duszę po kawałku, po trzy godziny dziennie nękał go pytaniami, usiłował się do niego dobrać i tak, i siak. Jak też on się nazywał? No, zresztą nieważne. A więc ten oficer powtarzał Nikicie: „Wiem, że ty dokonałeś tego zabójstwa. Wiem i koniec. I radzę ci wziąć jedną rzecz pod uwagę. Jeżeli znajdę dowody twojej winy, dostaniesz wyrok. Solidny wyrok, ale to w końcu tylko odsiadka. Jeśli pójdziesz po rozum do głowy i sam się przyznasz na piśmie, wyrok będzie mniejszy, a jak zaczniesz aktywnie współpracować i powiesz, kto ci zlecił zabójstwo – jeszcze mniejszy. Natomiast jeżeli ja nie znajdę dowodów przeciwko tobie, pozostaniesz na wolności, ale długo na niej nie pożyjesz”.

Nikita wówczas nie uwierzył. Jego zleceniodawcy wydawali mu się silni, potężni i niezniszczalni. Na pewno nie pozwolą go skrzywdzić. Zwłaszcza że okazał się takim spryciarzem, wywinął się glinom. Jednakże minęło półtora roku i wszystko się zmieniło. Grupa, do której należał, nie była wcale taka silna i wszechmocna. Osłabiały ją właśnie wewnętrzne, a milicja także nie zasypiała gruszek w popiele, tego i owego potrafiła zahaczyć i zręcznie wyłowić. Trzy miesiące temu żalosne resztki grupy włączyły się do innej struktury, większej i silniejszej, która podporządkowała sobie mocodawców Nikity Mamontowa. Dla samego Nikity jednak nie znalazło się w niej miejsce. To znaczy, owszem, nie zostawili go całkiem na lodzie, dostał odprawę, ale dano mu jasno do zrozumienia, że nikt nie będzie po nim płakał, jeśli się zmyje. Żaden z niego żołnierz, żaden snajper, osiłek, zabijaka czy mistrz kierownicy i w ogóle żadnymi specjalnymi umiejętnościami się nie wyróżnia. Jego dawni szefowie, ot, drobnica, cieszyli się z każdej pary rąk, zwłaszcza jeśli te ręce należały do tchórza, któremu łatwo rozkazywać. Ale u nowych panują inne porządki. Tam o każde miejsce trzeba

się ubiegać niemal konkursowo i tacy jak Nikita w ogóle nie są potrzebni. Oczywiście, przyjmą go, jeżeli zechce zostać, ponieważ ma na swoim koncie mokrą robotę i tym sobie zasłużył na prawo przynależności do struktury mafijnej. Ale nic poza tym. Rola żalosego pionka na łaskawym chlebie to maksimum, na jakie może liczyć.

Nikita odmówił z godnością, oświadczył, że nie rości sobie żadnych pretensji do niczego, i z ulgą zakończył swoje kontakty ze światem przestępczym. Od dziecka był słaby i tchórzliwy, ale mając lat dwadzieścia pięć nabrał przynajmniej trochę rozumu. Jako dziesięcioletniak dał się wciągnąć w działalność kryminalną, gdyż bał się odmówić. W dwudziestym czwartym roku życia dokonał zabójstwa również dlatego, że stchórzył i nie odważył się powiedzieć „nie”. Bał się, że będą go bić. Ale od tamtej chwili myślał tylko o tym, jak by się z tego wszystkiego wymotać. Koniec, dość wygłupów. Trzeba pójść po rozum do głowy, nauczyć się jakiegoś zawodu i spać w miarę możliwości spokojnie. Ale wyrwać się ze świata przestępczego, i to jeszcze mając takiego haka, jak mokra robota, okazało się rzeczą wcale niełatwą. Najmniejszą niesubordynację traktowano jako przejaw „zsuczenia”, czyli działania na rzecz milicji bądź konkurentów. Niegłupi, lecz słaby Nikita siedziałby więc po wiek wieków na mafijnym przypiecku, gdyby – na jego szczęście – piec nagle nie zaczął się walić. Jawną pogardę nowych szefów dla swojej osoby Nikita uznał za prawdziwy dar losu, który pozwoli mu wreszcie wieść normalne życie – bez zagrożeń, cudzych podejrzeń i strachu. Tak w każdym razie uważał. Ale nic z tego nie wyszło...

Wyglądało na to, że tamten oficer miał rację. Nikita niedługo cieszył się wolnością. Jak też on się nazywał? Mamontow przypomniał sobie, że milicjant dał mu wtedy swój telefon, i domowy, i służbowy, i powiedział:

– Kiedy się zdecydujesz zeznawać, od razu do mnie zadzwoń. Nie krępuj się, dzwoń o każdej porze, nawet w nocy.

Karteczkę z telefonami Nikita znalazł szybko. Zawsze lubił porządek i nigdy niczego nie gubił. Aha, Jurij Wiktorowicz Korotkow. I numery. A gdyby tak zadzwonić? Teraz już wszystko jedno, można i jemu przyznać się do zabójstwa, tamci trzej i tak mają to na wideo. Korotkow przynajmniej doradzi, co robić.

Nikita jeszcze chwilę się zastanawiał, potem zdecydowanym ruchem zdjął słuchawkę i wykręcił domowy numer Korotkowa. Była już dziesiąta wieczór, więc uznał, że dzwonić pod służbowy numer nie ma sensu.

Odezwał się niezadowolony kobiecy głos.

- Nie ma go. Coś przekazać?

- Zadzwoń później. Może być za godzinę?

- Proszę - sucho powiedziała kobieta i odłożyła słuchawkę.

Ale za godzinę Korotkova też nie było w domu. Nikita postanowił dziś więcej nie dzwonić, jakoś nie wypada budzić całej rodziny. Zatelefonuje lepiej jutro rano. Ciekawe, czy ten Korotkow w ogóle go pamięta. Co dzień ma pewnie do czynienia z tuzinem takich jak Nikita.

*

Nastia Kamińska nie zdążyła po przyjściu do pracy zdjąć kurtki i powiesić jej w szafie, kiedy już pojawił się u niej Korotkow.

- Aśka, odśwież mi pamięć. Dziewięćdziesiąty piąty rok, zabójstwo przyjezdnego kuriera na Dworcu Paweleckim. Podejrzany Nikita Mamontow.

- Było coś takiego - potwierdziła Nastia. - O jakie szczegóły ci chodzi? Mam to wszystko w papierach, ale szukanie długo potrwa.

- Nie musisz szukać, mów, co pamiętasz.

- A o co chodzi?

- Przed chwilą dzwonił do mnie ten Mamontow. Chce się spotkać. Umówiłem się z nim na wpół do dwunastej przy stacji metra Czertanowska.

Nastia w kilku zdaniach zrelacjonowała Korotkowowi wszystko, co pamiętała ze sprawy zabójstwa na Dworcu Pa-weleckim. Miała znakomitą pamięć, co często wykorzystywały jej koleżdy.

- Czyli facet był z grupy Usojewa - rzekł w zamyśleniu Jura. - A grupa Usojewa, o ile wiem, czy raczej to, co z niej zostało, połączyła się gładko z grupą niejakiego Laszenki, ksywa Lach. Cóż, widocznie naszego małego Nikity zdecydowanie nie urząda istniejący stan rzeczy. Ciekawe.

Cały ranek Nastia spędziła na analizie danych mających lub mogących mieć związek z dusicielem psychopata. Zaczęły już wpływać kolejne wyniki sekcji siedmiu ofiar i z wniosków patologów sądowych można było wyłuskać pewne informacje. Na przykład pierwsze ze znalezionych zwłok miały na szyi ślady paznokci, u wszystkich pozostałych natomiast - mimo że zaatakowano ofiary z podobną siłą - takich śladów nie wykryto. Należało więc sądzić, że pomiędzy pierwszym a drugim zabójstwem morderca obciął paznokcie. Istotny szczegół! Gdyby tak jeszcze dzięki tej informacji udało się wpaść na trop maniaka...

Uwagę Nasti zwróciła też inna wskazówka. Sądząc po rozmieszczeniu krwawych wybroczyn na szyjach ofiar, można było założyć, że zabójca jest osobą bardzo wysokiego wzrostu. Uduszeni mierzyli od stu sześćdziesięciu dwóch centymetrów do metra osiemdziesięciu, a ślady palców na ich szyjach pozwalały wyciągnąć wniosek, że napastnik był wyższy od wszystkich swoich ofiar. Niestety, miejsce i sposób zadziergnięcia pętli nie wnosił żadnych nowych informacji na temat przestępcy. Kiedy ofiara, po silnym uciśnięciu tętnicy szyjnej, traciła przytomność, napastnik kładł ją na ziemi, zdejmował jej szalik lub chustkę i zaciągał pętlę, jak pisali w swoich raportach z wyników sekcji lekarze sądowi, „ruchem od tyłu do przodu i z góry do dołu, co potwierdza obecność biegnącej ukośnie bruzdy w dolnej części szyi”. Uważali oni, że przestępca musi mieć co najmniej sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, ale - co pewniejsze -

mierzy raczej blisko dwa metry. To już było coś. Należało rozejrzeć się wśród koszykarzy.

I jeszcze jedna sprawa, być może, najważniejsza. Człowiek wraca do domu o północy, wchodzi do pustej bramy. I natychmiast zostaje zaatakowany. Ale tylko w bajkach wszystko toczy się tak prosto i gładko. Co to znaczy „zostaje natychmiast zaatakowany”? Morderca musiał iść za upatrzoną ofiarą pustą ulicą, wejść za nią do bramy... Czy ludzie doprawdy są tak lekkomyślni? A przecież wyniki sekcji stwierdzają wyraźnie, że ani jedna z ofiar nie znajdowała się w stanie upojenia alkoholowego, kiedy to zdaje się człowiekowi, że wszyscy ludzie są najżycielszymi przyjaciółmi i że mógłby wręcz góry przenosić. A może zabójca nadchodził z przeciwnej strony, idąc na spotkanie ofiary? Ale wtedy człowiek tym bardziej czułby się wystraszony lub przynajmniej wzbudziłoby to jego czujność. I nie pozwoliłby tak łatwo chwycić się za gardło. Byłyby jakieś ślady walki. Tymczasem nic takiego nie znaleziono. A więc ofiara absolutnie nie spodziewała się ataku, jej mięśnie nie były instynktownie napięte i traciła przytomność natychmiast, gdy tylko palce mordercy ucisnęły tętnicę. Można to było wyjaśnić w trojaki sposób. Po pierwsze, ofiara знаła zabójcę i nie bała się go. Przeprowadzone badania na razie nie potwierdzały tej wersji. W każdym razie wspólnych znajomych u całej siódemki denatów, jak dotąd, nie znaleziono. Po drugie, morderca pojawiał się z nienacka, nie szedł za ofiarą ani nie zbliżał się z przeciwka, lecz wynurzał się z ciemności, gdzie stał zaczajony, cierpliwie czekając na spóźnionego lokatora. Teoretycznie to możliwe, ale w praktyce... Wszystkie bramy, w których znaleziono zwłoki mieszkańców, były dobrze oświetlone i nie miały zakamarków, gdzie można by się schować, a potem z nienacka wyłonić.

Pozostawał trzeci wariant: ofiara widziała zabójcę, lecz nie obawiała się go i nie spodziewała, że zostanie zaatakowana, chociaż nie znała przestępcy. Przed kim można nie

czuć strachu o dwunastej w nocy, w pustej bramie? Przed dzieckiem albo kobietą. Nawet bardzo wysoką kobietą...

Z tych rozważań wyrwał Nastię dzwonek telefonu. W słuchawce rozległ się głos Korotkowa:

- Asiu, zajrzyj do swoich papierów, potrzebny mi adres tego kretyna Mamontowa. Czekam już na niego godzinę, zmarłem na kość.

- A co, nie przyszedł?

- Nie przyszedł, bydlak. Jak go znajdę, nogi mu z tyłka powyrywam.

Nastia szybko otworzyła sejf i wyjęła teczkę z materiałami z 1995 roku, gratulując sobie w duchu przezorności. Oczywiście, prościej byłoby trzymać wszystko razem, w jednym miejscu, ale ona, kierowana jakimś niewytłumaczalnym instynktem, dzieliła materiały na dwie części. W jednej tezcze przechowywała końcowe raporty i podsumowania, bezosobowe, najeżone cyframi i suchymi konstrukcjami logicznymi, niezawierające żadnych nazwisk, w drugiej – wszystkie bieżące notatki, kopie przesłuchań, nazwiska, ksywy, adresy, telefony i inne przydatne informacje. Co tydzień dane te Nastia wprowadzała do domowego komputera i tam, dzieląc je na pliki i katalogi, opracowywała następnie najrozmaitsze zestawienia i tabele, ale tu, w gabinecie na Pietrowce 38, materiały znajdowały się w teczkach, i to nie zawsze w najidealniejszym porządku. Co prawda, Nastia orientowała się w nich doskonale, ale nikt inny nie znalazłby tu potrzebnych danych. Gdyby wszystkie materiały trzymała w jednej tezcze, a dwa dni temu Panisko osobiście zabrałby ją, żeby się z nimi „zapoznać”, Jurka Korotkow zobaczyłby potrzebny adres jak własne ucho. Musiałby go szukać przez biuro adresowe, a w Moskwie Mamontowów jest jak psów...

Podyktowała Korotkowowi adres i – na wszelki wypadek – numer telefonu Nikity Mamontowa, przesłuchiwanego w 1995 roku w związku ze sprawą zabójstwa na Dworcu

Paweleckim. Nikita mieszkał daleko od stacji metra Czertanowska, na drugim końcu miasta, w Otradnem.

- Pojedziesz do niego teraz, od razu? - spytała Korotkowa.

- Akurat, już się rozpędziłem - burknął rozzłoszczony Jura. - I tak straciłem przez niego całą godzinę. Specjalnie wyznaczyłem mu spotkanie przy Czertanowskiej, bo mam w tej okolicy dwie sprawy do załatwienia. Jedna zresztą dotyczy twojego dusiciela. Jak skończę tutaj wszystko, co zaplanowałem, to potem może zajrzę do Nikity, jeśli jeszcze dam radę. No dobra, koleżanko, lecę dalej.

*

Była to klasyczna pułapka, którą zastawiano setki razy i w którą wpadało tyleż osób. Mało tego, przedstawiano ją w dziesiątkach powieści kryminalnych i filmów. Mimo to wpadki wciąż się zdarzały.

Major Korotkow był doświadczonym oficerem operacyjnym. Dlatego najpierw długo dzwonił do drzwi Nikity, a potem pchnął je ostrożnie. Stwierdziwszy, że są otwarte, nie wszedł do środka, przymknął drzwi i nacisnął dzwonek do sąsiedniego mieszkania. Otworzyła mu młoda kobieta z rocznym berbeciem na rękach. Jura pokazał jej legitymację.

- U pani sąsiada drzwi są otwarte - powiedział - a on nie reaguje na dzwonek. Czy mogę od pani zadzwonić po milicję?

- Przecież pan sam jest z milicji - roześmiała się kobieta.

- Pojedynczy milicjant to nie milicjant - konfidencjonalnie ścisząc głos, rzekł Korotkow.

- Jak to?

- A tak. Nam także potrzebni są świadkowie, jak wszystkim. Co by było, gdybym tak teraz wszedł do mieszkania Nikity i okazałoby się, że buszowali tam złodzieje? Nigdy w życiu bym nie udowodnił, że sam czegoś nie zabrałem, korzystając z okazji.

– Mogę wejść z panem – zaproponowała ochoczo sąsiadka Nikity. – I jeśli będzie trzeba, zaświadczę, że pan niczego nie wziął. Chce pan?

Korotkow nie chciał. Nie widział najmniejszej potrzeby, żeby ta miła młoda kobieta miała być zamieszana w sprawę o zabójstwo. Co zaś do tego, że chodzi właśnie o zabójstwo, a nie o okradzenie mieszkania, nie miał cienia wątpliwości. Jurij Korotkow był doświadczonym wywiadowcą.

*

Walentin Bagluk zawsze ciężko znosił kaca. Właściwie to pił niezbyt często, tylko w miłym, zaprzyjaźnionym gronie, ale wtedy już bez umiaru – miewał przerwy w życiorysie, nic nie pamiętał, słowem, pełny odlot. I za każdym razem po uroczym wieczorze następował ranek. Koszmary. Odrażający. Wprost nie do zniesienia. Tak straszny, że wydawał się Wali Baglukowi ostatnim porankiem w jego niedługim życiu.

Bagluk pracował w popularnej moskiewskiej gazecie, znanej z wyciągania na światło dzienne różnych skandali i podejmowania „gorących” tematów. Walentin, obudziwszy się, uznał, że już nigdy więcej nie napisze ani jednego artykułu do swojej gazety, z tej prostej przyczyny, że ten ranek będzie ostatnim w jego życiu. Do jasnej cholery, po co się wczoraj tak schlał? Przecież za każdym razem powtarza się ta sama historia: wie, co będzie następnego dnia, a mimo to pije, przy czym im więcej alkoholu w siebie wlewa, tym bardziej odległa i mglista staje się perspektywa koszmaru porannego kaca. Ranek jest jeszcze hen, daleko, a wesołość i radosne uniesienie trwają, są tu i teraz.

Słowem, Walentin czuł się fatalnie. Cierpiał jak potępieńiec. Niemal płakał nad własną głupotą i bezsilnością, ponieważ jedno wiedział na pewno: nie może sobie pozwolić na klina. Jeśli człowiek zacznie od rana klinować, to znaczy, że jest zdeklarowanym alkoholikiem. I chociaż z opowieści

przyjaciół Bagluk wiedział, że setka wódki w mgnieniu oka postawiłaby go na nogi, mężnie przemagał pragnienie.

Z trudem dobrnąwszy do łazienki, stanął pod prysznicem. Dziesięć minut pod letnią wodą sprawiło, że poczuł się odrobinę lepiej. Kiedyś, jeszcze za władzy radzieckiej, można było dostać w aptece wspaniałe tabletki pod nazwą aeron. Teraz już od dawna ich nie produkowano, ale Bagluk w tamtych dawnych czasach sprytnie zakupił spory ich zapas, gdyż właściwie przechowywane, zachowywały ważność do 1998 roku. Tabletką aeronu zażyta razem z tabletką novocefalginą skutecznie likwidowała ból głowy i nudności po przepiciu.

Walentin już wyszedł z łazienki, wyjął drogocenne lekarstwa i właśnie miał popić je wodą, kiedy zadzwonił telefon wiszący w kuchni na ścianie. Bagluk postanowił go nie odbierać. Nie miał siły rozmawiać. Ale sygnały nie ustawały, a wtyczki nie można było wyjąć z gniazdka, aparat był zamontowany na stałe. Żeby go wyłączyć, Walentin musiałby znaleźć śrubokręt, ukucnąć, wykręcić śruby i odłączyć zaciski. O tak skomplikowanej operacji w obecnym stanie nie mógł nawet pomyśleć. Co więcej, aparat był stary, regulator głośności dzwonka dawno się popsuł, tak że sygnału nie dawało się ściszyć. Chyba żeby przynieść z pokoju poduszkę... Ale to też nic nie da. Aparat przecież wisi na ścianie. Nie, lepiej już podnieść słuchawkę, bo od tych rozdzierających, przeraźliwych dzwonek można dostać konwulsji. O Boże, po co wczoraj tyle pił!

- Halo - zabełkotał w słuchawkę głosem umierającego, w nadziei, że dzwoniący weźmie go za ciężko chorego i odczepi się.

- Walentin Nikołajewicz? - rzekł nieznamy głos.

- Tak, słucham - odezwał się Bagluk, oczyma duszy widząc się na scenie w roli Damy Kameliowej w ostatnim akcie dramatu.

- Czy jest pan zainteresowany informacjami dotyczącymi zabójstwa?

- Zależy jakiego.

- Morderstwa dokonano wczoraj. Ofiara jest informatorem Pietrowki. Proszę sobie przypomnieć, w wielu gazetach ukazały się informacje o tym, że milicja werbuje ludzi, wykorzystuje ich, a następnie wyrzuca jak bezużyteczne śmieci. Informator staje się nikomu niepotrzebny, mało tego, nawet ochrona jego danych osobowych przestaje obowiązywać. I oto rezultaty. Wasza gazeta, tak popularna i lubiana przez mieszkańców Moskwy, nie wiadomo dlaczego ani razu nie podjęła tego tematu. Redakcja nie jest tym zainteresowana?

Bagłuk szybko powracał do życia. A więc to jeszcze nie finał, kiedy Dama Kameliowa umiera na suchoty. Jesteśmy dopiero w środku akcji.

- Owszem, jest, ale nie dysponowaliśmy wystarczającymi informacjami. Takich przypadków, o jakich pan mówi, nie było wiele, i za każdym razem inne redakcje nas wyprzedzały. A jeśli nie ma się wyłączności na taką publikację, to już nie to, o co chodzi.

- Wobec tego tym bardziej powinno to pana zainteresować - oznajmił nieznajomy rozmówca. - Ponieważ pan jest pierwszym człowiekiem, który się dowiedział, że zamordowany wczoraj Nikita Mamontow był informatorem jednego z pracowników sekcji zabójstw na Pietrowce.

- Ale potrzebne mi są dowody - rzekł ostrożnie Bagłuk.
- Wie pan przecież, że nasza gazeta i tak ma już na swoim koncie kilka procesów z powodu publikacji opartych na niesprawdzonych informacjach.

- Ma się rozumieć - odparł spokojnie nieznajomy. - Przedstawię panu dowody. Umówimy się od razu na spotkanie czy chce pan jeszcze przemyśleć sprawę?

- Chciałbym zrozumieć, jaki pan ma w tym interes. Dlaczego proponuje pan informacje akurat naszej gazecie, a właściwie konkretnie mnie. I na co pan liczy w zamian?

- Zaraz panu wyjaśnię. To jedyna gazeta codzienna, która może rozpracować tak skomplikowaną sprawę. Oczywiście, w „Ścisłe Tajnym” czy „Kronice Kryminalnej” są specjaliści, którzy lepiej od pana zorientują się w materiale i przedsta-

wią całą historię o wiele efektowniej, ale te pisma ukazują się raz na miesiąc. Czyli byłaby to już musztarda po obiedzie. Teraz co do mojego własnego interesu. Pracuję w organach bezpieczeństwa i nie jest mi obojętne, jak przebiega działalność agenturalno-operacyjna. Niestety, obecnie sprawy wyglądają nie najlepiej. W tej sytuacji chciałbym zrobić wszystko, żeby ukrócić ten proceder, na przykład zorganizować w mediach kampanię, która otworzyłaby wreszcie władzom oczy na fakt, że system wykrywania przestępstw i ścigania winnych po prostu się sypie.

To wydało się Bałlukowi dość przekonujące. W każdym razie zetknął się już z ludźmi, którzy usiłowali forsować swoje racje za pomocą skandali prasowych. Co prawda, racje te zawsze miały charakter polityczny, a nie zawodowo-merytoryczny... Ale za to artykułik będzie można napisać, że pałuszki lizać!

*

Jura Korotkow przychodził do pracy bardzo wcześnie. Atmosfera w domu była nie do wytrzymania, więc zwykle starał się wstać, zjeść śniadanie i wyjść, zanim żona się obudzi, żeby uniknąć kolejnej awantury i nie psuć sobie nastroju na resztę dnia. Dzisiaj także zjawił się na Pietrowce bardzo wcześnie, już za kwadrans ósma siedział w gabinecie, który dzielił z Kołą Sielujanowem, i przepisywał na czysto informacje, które zdołał zebrać wczoraj. Notował je na różnych świstkach, bazgrał na pudełkach od papierosów, papierkach od cukierków i innych podobnych „nośnikach informacji”.

Dziesięć po ósmej zabrzączał dzwonek telefonu wewnętrznego.

– Juriju Wiktorowiczu – rozległ się głos Mielnika – proszę do mnie.

Korotkow ze zdziwieniem spojrzął na zegarek i udał się do szefa. Władimir Borisowicz powitał go lodowatym milczeniem. Rzucił tylko na długi stół konferencyjny jakąś gazetę

i stanął pod oknem, odwrócony od Korotkowa plecami. Jura wziął ją ze stołu, przebiegł wzrokiem tytuły, aż natknął się na jeden, zakreślony jadowicie zielonym markerem: *Zwłoki na śmietniku*. Artykuł był spory, zajmował cały dół drugiej kolumny. Początek brzmiał bardzo efektownie.

„Powiedział mi: «Wiem, że to ty zabiłeś. Być może nie potrafisz tego udowodnić, ale i tak wiem to z całą pewnością...».

Doskonale ujęcie sprawy, nieprawdaż? Macie państwo przed sobą spisane z taśmy zeznanie, w którym pewien młody człowiek imieniem Nikita przyznaje się do dokonania zabójstwa na Dworcu Paweleckim w 1995 roku. Jego nazwiska na razie nie wymienimy. Młodzieniec ów znalazł się od razu w orbicie zainteresowań wydziału kryminalnego, został zatrzymany i przez blisko miesiąc intensywnie go przesłuchiowano. Nie dość tego, gdyż – jak to już wiemy – pracownicy milicji byli przekonani, że właśnie on jest zabójcą. Wiedzieli to z całą pewnością. Wiedzieli i... wypuścili Nikitę.

Jakże to? – zapytacie. Dlaczego to zrobili, skoro mieli pewność, że jest winien? Czyżby Nikita był sprytnym mafiosem, który potrafił wszystkich przekupić? Nie. Był najzwyczajszym młodym człowiekiem, związanym wprawdzie z pewną grupą o charakterze przestępczym, stanowiącą jednak zaledwie margines środowiska kryminalnego. A może miał wpływowych rodziców, którzy zdecydowali się wyrzucić odpowiedni nacisk w duchu tak dobrze znanej tradycji: «Pan nie wie, kto ja jestem...»? I znów odpowiedź brzmi: nie. Matka Nikity jest lekarką w poradni dziecięcej, a ojciec dawno nie żyje. A więc co się stało? W jaki sposób Nikita znalazł się na wolności?

Odpowiedź jest prosta. Nikitę zwerbowano. Milicjanci udali, że nie mogą znaleźć dowodów jego winy, nie ujawnili ich podczas śledztwa i wypuścili zabójcę na wolność. W zamian zyskali informatora, który na bieżąco donosił im, co

się dzieje wewnątrz grupy przestępczej, do której sam należał. Widzicie państwo, jakie to proste?

Nikita uczciwie spełniał swoje obowiązki, pracował w pocie czoła. Stopniowo grupa niejakiego Usojewa (bo właśnie do niej należał) zaczęła się rozpadać. Niektórych jej członków łapano przy jakichś drobnych wykroczeniach na gorącym uczynku. W grupie zaczęły się kłótnie, nastąpił rozłam, zwarty kolektyw słabł z dnia na dzień, aż w końcu, po upływie kilku miesięcy, władzę nad grupą przejął nowy szef, o większym autorytecie i wpływach. W nowej «rodzinie» nie znalazło się miejsce dla Nikity, a co za tym idzie, przestał być użyteczny dla milicji. Skoro nie można już było wyciągnąć od niego żadnych informacji, po co miał się płatać pod nogami? Milicja posłała go do wszystkich diabłów.

I nie byłoby w tym nic złego, gdyby jej czarna niewdzięczność ograniczyła się do utraty zainteresowania Nikitą. Na tym jednak nie koniec. Nie zatroszczono się nawet o to, by fakt współpracy Nikity z wydziałem kryminalnym pozostał objęty tajemnicą. Zrozumiałe więc, że wiadomość dotarła, gdzie należy. W środowisku przestępczym zdrady się nie wybacza, to coś całkiem innego niż skok w bok męża czy żony. Nikita zaniepokoił się, czuł, że wokół niego robi się gorąco. I gorączkowo zaczął szukać pomocy. Do kogo się po nią zwrócił? A kogóż by miał prosić o radę i ochronę, jeśli nie owego oficera operacyjnego, dla którego pracował i któremu przekazywał informacje? W naszym posiadaniu jest kasetka z zapisem rozmowy, dzięki której pewne sprawy staną się dla czytelnika bardziej zrozumiałe.

- Halo, chciałbym mówić z Jurijem Wiktorowiczem.

- Słucham.

- Moje nazwisko Mamontow. Nikita Mamontow. Pamięta mnie pan?

Z wahaniem:

- Nie, nie przypominam sobie.

- Zabójstwo na Dworcu Paweleckim. No jak to, Juriju Wiktorowiczu... Dał mi pan przecież swoje numery telefonów, żebym w razie czego dzwonił.

- A, tak, pamiętam. O co chodzi?

- Muszę się z panem zobaczyć.

- Po co?

- To bardzo ważne. Proszę... Nie chcę o tym mówić przez telefon. Mam naprawdę ważną sprawę.

- Dobrze, wobec tego o wpół do dwunastej, stacja metra Czertanowska. Może być? Na wysokości ostatniego wagonu, koło kiosku loterii. Zrozumiałeś?

- Tak. Dziękuję panu...

Jak widzisz, drogi czytelniku, pracownik sekcji zabójstw wydziału kryminalnego, zwany Jurijem Wiktorowiczem, wcale się nie kwapił do spotkania ze swoim beużytecznym już informatorem. Mało tego, próbował nawet udawać, że w ogóle Nikity Mamontowa nie zna i nie pamięta. Nikita, czując, że zagrożenie jest coraz bliżej, nie prosi o spotkanie, lecz nalega, błaga o nie niemal z płaczem, jego szef z milicji natomiast cedzi słowa przez zęby, by w końcu łaskawie się zgodzić.

Ot, taka sobie zwykła historyjka. Tyle że za chwilę, kochani czytelnicy, już za chwilę, przestanie być zwykłą, jako że Nikitę znaleziono martwego. W jego własnym mieszkaniu. Jeszcze tego samego dnia. Komuś najwidoczniej bardzo się nie spodobało, że chciał się on spotkać z funkcjonariuszem organów ścigania. A może było to nie w smak samemu Jurijowi Wiktorowiczowi? Z pewnością nieprzypadkowo to on pierwszy znalazł się przy zwłokach swego byłego informatora. Informatora, który teraz stał się beużyteczny, ale zbyt dużo wiedział...”.

Tyle, jeśli idzie o fakty; w dalszej części artykułu znalazł się wysoce emocjonalny komentarz autora, rozdzierającego szaty nad tym, jaka to milicja jest zła, bo nie chroni swoich informatorów, którzy ryzykują życie, pomagając w wykrywaniu przestępstw. Tekst zawierał mnóstwo zawołowanych sugestii, że w eliminowaniu wykorzystanych i niepotrzebnych już agentów zainteresowani są sami przedstawiciele organów ścigania, nie tylko środowiska przestępcze. Korotkow raz

jeszcze rzucił okiem na miejsce w artykule, gdzie została przytoczona jego rozmowa telefoniczna z Mamontowem. Tak, wszystko się zgadzało, słowo w słowo. Czyżby Nikita dzwonił do niego na czyjeś polecenie z aparatu telefonicznego, w którym zamontowano podsłuch?

- Czekam na pańskie wyjaśnienia.

Głos Mielnika był zimny jak lód i zgrzytliwy niczym stary, zardzewiały nóż.

- Nie potrafię tego wyjaśnić.

- W ogóle? Nie ma mi pan nic do powiedzenia?

- Nie rozumiem, jak do tego doszło. Ale mogę przekazać panu to, co wiem.

- Nie rozumie pan? - Mielnik podniósł głos. - Pański informator zostaje rozszyfrowany, Juriju Wiktorowiczu, właśnie pański, a pan nie wie, jak do tego doszło? Proszę mi powiedzieć, jeśli łaska, kto jeszcze oprócz pana mógł znać jego nazwisko?

- Jest pan w błędzie. - Jura starał się mówić spokojnie, choć niezbyt dobrze mu to wychodziło. - Nikita Mamontow nigdy nie był moim informatorem. Nie pracował dla mnie.

- Juriju Wiktorowiczu, sam pan doskonale rozumie, że to gołosłowne twierdzenie. Mogę naturalnie sprawdzić wszystkie pańskie dokumenty, dotyczące siatki informatorów, ale jeśli nie znajdę tam nazwiska Mamontowa, to wcale jeszcze nie będzie znaczyło, że z panem nie współpracował. Ani pan, ani ja nie urodziliśmy się wczoraj i świetnie wiemy, ilu nieformalnych informatorów zatrudniają oficerowie operacyjni. Może jeszcze raz wspólnie przejrzymy artykuł. Pracował pan z Mamontowem w dziewięćdziesiątym piątym?

- Tak jest.

- Rzeczywiście był pan przekonany o jego winie?

- Tak.

- Więc dlaczego nie znalazł pan dowodów?

- Wszystko rozbijało się tam o zeznania świadków. Popracowali nad nimi skutecznie ludzie Usojewa, tak że nic nie mogliśmy zdziałać. Z punktu widzenia kryminalistyki była to zbrodnia dokonana. Proszę sobie wyobrazić tę sytuację: tłum

pasażerów, którzy wysiedli z pociągu, rusza peronem w kierunku wyjścia, a z przeciwnej strony napiera taka sama masa ludzka, gdyż na sąsiedni tor podstawiono właśnie pociąg podmiejski, który za chwilę ma odjechać. W takich warunkach znalezienie jakichkolwiek śladów, przydatnych do identyfikacji, jest po prostu niemożliwe. Oskarżenie mogłoby się opierać jedynie na zeznaniach świadków.

- Tak, rozumiem. Więc wypuścił pan Mamontowa?

- Nie ja, tylko śledczy. To już nie była moja sprawa.

- O tyle pańska, że nie potrafił pan znaleźć sposobu, żeby udowodnić mu winę. Czy to prawda, że mówił pan Mamontowowi, iż jest pan przekonany, że to on dokonał zabójstwa, czy też chodzi tu jedynie o dziennikarski bluff, któremu Mamontow nie może już teraz zaprzeczyć?

- Tak, towarzyszu pułkowniku, mówiłem to Nikicie. Niegłupi chłopak, tylko słaby. Podczas przesłuchań trudno go było zbić z tropu i przyłapać na kłamstwie, proszę mi wierzyć, miałem z nim wtedy do czynienia blisko miesiąc. Próbowałem go złamać, twierdząc, że i tak jesteśmy przekonani o jego winie, ale, niestety, ten numer nie wyszedł. Mamontow trzymał się twardo do końca.

- Co było dalej? Zwerbował go pan jeszcze przed zwolnieniem, czy później?

- Władimirze Borisowiczu, zapewniam, że nie werbowałem Mamontowa. Daję panu na to słowo honoru.

- Tak? A dlaczegoż to? Przecież sam pan powiedział, że był niegłupi, choć słaby. Takim osobnikom zwykle ciężko przynależność do struktur przestępczych, źle ją znoszą i chętnie idą na współpracę z nami. Czemu więc nie skorzystał pan z okazji?

Takiego obrotu sprawy Jurij nie oczekiwał. Dlaczego nie zrobił Nikity Mamontowa swoim informatorem? Ależ dlatego, że Mamontow w ogóle się do tej roli nie nadawał. Jurze nie przyszło wówczas nawet do głowy, żeby chłopaka wciągać do współpracy. Tchorzliwy, mało odporny na ból, wygada się natychmiast przed każdym, kto tylko podniesie na niego rękę. Cóż z takiego faceta za informator? Śmiechu warte.

- Mamontow nie nadawał się do zwerbowania ze względów psychologicznych - odparł.

- Przypuśćmy, że tak - zgodził się Mielnik. - Co było dalej?

- Nie wiem. - Korotkow wzruszył ramionami. - Zawieszono dochodzenie ze względu na brak winnego, którego można by pociągnąć do odpowiedzialności karnej. Mamontow został zwolniony. Więcej go nie widziałem.

- Więc czym należy tłumaczyć fakt, że trzy dni temu do pana zadzwonił?

- Nie wiem.

- Zapis waszej rozmowy telefonicznej jest prawdziwy?

- Prawdziwy.

- Może pan to jakoś wytłumaczyć?

- Nie, towarzyszu pułkowniku, nie mogę. Mogę tylko przypuszczać, że Nikita dzwonił z aparatu z wmontowaną pluskwą.

- Bardzo wnikliwy wniosek.

Mielnik milczał chwilę, spoglądając gdzieś w bok, po czym podniósł na Jurę jasne oczy o przenikliwym spojrzeniu.

- Co panu powiedział Mamontow?

- To, co pan przeczytał w gazecie, Władimirze Borisowiczu. Rozmowę przytoczono w całości.

- Niech pan nie robi ze mnie idioty! - wybuchnął Mielnik.

- Pytam, co panu powiedział Mamontow podczas spotkania. Co się stało? Dlaczego do pana dzwonił?

- Nie widzieliśmy się.

- A to czemu?

- Nie wiem. Byliśmy umówieni o wpół do dwunastej na stacji metra Czertanowska. Mamontow nie przyszedł na spotkanie.

- To może pan opowiadać swojej cioci. Mnie, z łaski swojej, proszę opisać, jak się spotkaliście i co Mamontow panu mówił.

- Władimirze Borisowiczu, daję panu słowo honoru, że nie widziałem się z Mamontowem.

- A co pan robił w pobliżu jego mieszkania w chwili zabójstwa?

A niech to, zaklął w duchu Korotkow, teraz wszystko będzie obracał przeciwko mnie. Trzeba przyznać, bez dwóch zdań, że nowy szef potrafi rozwiązać człowiekowi język. Proszę, jak to zgrabnie ujął: co pan robił w pobliżu jego mieszkania w chwili zabójstwa? Trzeba starannie przemyśleć odpowiedź, bo inaczej zaraz się przyczepi: a skąd pan wie, kiedy doszło do zabójstwa?

- Pojechałem do Mamontowa do domu, żeby sprawdzić, co się stało i dlaczego nie stawił się na spotkanie.

- Skąd tyle troski?

- Zdawałem sobie przecież sprawę, że nie zadzwonił ot, tak. Z pewnością wydarzyło się coś ważnego, skoro przypomniał sobie o mnie. Zachowałbym się nieprofesjonalnie, lekceważąc to. Sprawdziłem adres Mamontowa, załatwiłem swoje sprawy w Czertanowie i dopiero potem pojechałem do Otradnego. Najpierw długo dzwoniłem do mieszkania, potem odkryłem, że drzwi nie są zamknięte.

- I oczywiście wszedł pan do środka - z nieukrywaną złością dokończył Mielnik. - Zostawił pan tam odciski palców i teraz już nigdy w życiu nie udowodni pan, że zjawił się pan w mieszkaniu w jakiś czas po zabójstwie, a nie w momencie dokonywania przestępstwa.

- Nic podobnego - zaprzeczył stanowczo Korotkow. - Nie wchodziłem do mieszkania. Moich odcisków tam nie ma i być nie może.

Mielnik podniósł na niego oczy, których spojrzenie w jednej chwili stało się cieplejsze.

- To prawda? Nie wchodził pan tam?

- Nie wchodziłem. Władimirze Borisowiczu, sam pan przecież powiedział, że nie urodziliśmy się wczoraj. To pułapka stara jak świat, wstyd po prostu byłoby w nią wpaść.

- No to chwała Bogu!

Mielnik zdawał się tym tak uradowany, że Korotkow, choć złość w nim jeszcze kipiała, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Dobrze, Juriju Wiktorowiczu, podejrzenie o zabójstwo Nikity Mamontowa na razie odrzucamy. Ale pozostaje sprawa rozszyfrowania informatora. Musimy postawić wszystkie kropki nad „i”. Mamontow był pańskim informatorem, to dla mnie nie ulega kwestii i niech pan nie próbuje mnie oszukiwać. A ponieważ pracował dla pana, na panu właśnie spoczywa cały ciężar winy i odpowiedzialności za jego rozszyfrowanie. To sytuacja, która nie powinna się zdarzyć. Musimy wdrożyć wobec pana wewnętrzne śledztwo. Trzeba wyjaśnić, w jaki sposób informacja o pańskich kontaktach z Mamontowem dotarła do zabójców, a następnie do dziennikarza. Tego, no, jak mu tam... – Mielnik wziął gazetę i szybko rzucił okiem na podpis pod artykułem. – Bagluka. Znalazł się pan w bardzo trudnej sytuacji, majorze Korotkow, i trudno mi sobie nawet wyobrazić, jak pan się z niej wypląće. Całkiem niedawno nasz minister po raz kolejny zwrócił uwagę na niedopuszczalne zaniedbania w pracy z tajnymi współpracownikami, a zwłaszcza podkreślił, że prowadzi to do dekonspiracji osób powiązanych w taki czy inny sposób z organami ścigania. Jeśli doszło do najmniejszego choćby zaniedbania z pańskiej strony, zostanie pan ukarany, i to z całą surowością. Może pan odejść.

Jura automatycznie zrobił w tył zwrot, wyszedł z gabinetu i ruszył długim korytarzem. Nic z tego nie rozumiał. Wszystko, co mówił Mielnik, było merytorycznie słuszne i całkowicie logiczne. Oprócz jednego: Nikita Mamontow nigdy nie pracował dla Korotkowa. Może zwerbował go kto inny? Na przykład ktoś z podsekcji do zwalczania przestępczości zorganizowanej, jako że chłopak należał do niegroźnej, ale jednak grupy przestępczej. Istotne wszakże było zupełnie co innego. A mianowicie początek tego cholernego artykułu. Dlaczego Mielnik nic nie wspomniał na ten temat? Czyżby nie zauważył?

„No to wpadłeś, Korotkow” – pomyślał Jura, otwierając drzwi swojego gabinetu.

ROZDZIAŁ 3

O dziesiątej, zebrawszy pracowników na codziennej porannej odprawie, Mielnik oznajmił:

- Dzisiaj wasz dawny szef będzie mi przekazywał sprawy o charakterze tajnym. Proszę, żeby po szesnastej wszyscy byli na miejscu. Chcę sprawdzić wasze rachunki osobiste.

Oficerowie operacyjni powitali to oświadczenie ciężkim westchnieniem. Rozumieli, że to konieczne, ale musieli zmieniać plany na cały dzień. Wszystkie sprawy tajne, które prowadzili pracownicy zespołu operacyjnego, były rozliczane ogólnie, w ramach sekcji, a ściślej biorąc „firmował” je szef, pułkownik Gordiejew. Materiały wszakże znajdowały się w sejfach poszczególnych oficerów, wraz ze specjalnym blankietem zwanym „rachunkiem osobistym”, na którym wpisywało się liczbę spraw i ich aktualny stan. Odchodząc ze swego stanowiska, Wiktor Aleksiejewicz musiał przekazać sprawy tajne swojemu następcy, a dalej wszystko już zależało właśnie od niego. Mógł przejąć wszystko na słowo honoru, czyli wziąć od Gordiejewa spis, udać, że się z nim zapoznaje, złożyć podpis potwierdzający, że go otrzymał, i schować papiery do sejfu. Ale mógł też zażądać, by wszystkie wymienione w spisie sprawy zostały mu przedstawione do wglądu. Mielnik, jak widać, wybrał ten właśnie wariant. Cała ta procedura była ogromnie czasochłonna, gdyż w sejfach pracowników znajdowało się mnóstwo teczek z tego rodzaju materiałami. Jeśli winnych przestępstwa nie udaje się wykryć, śledczy wnosi o zawieszenie dochodzenia i sprawa po prostu trafia do archiwum. Zupełnie inaczej rzecz się ma, jeśli chodzi o oficerów operacyjnych. Praca nad nierozwiązanymi sprawami trwa nadal, wywiadowcy wciąż obmyślają nowe sposoby jej rozgryzienia, na ile starcza im sił, czasu i wyobraźni, a szef nieustannie ich kontroluje - czy aby przypadkiem nie zapomnieli, że sprawcy zabójstwa sprzed pięciu lat, dotychczas nieujęci, znajdują się na wolności. I ciągną się te działania operacyjne bez końca, do usranej

śmierci, a raczej albo do chwili wykrycia winnych przestępstwa, albo też do upływu terminu przedawnienia konkretnej sprawy. A w wypadku zabójstw terminy te są bardzo długie. Liczą się w dziesiątkach lat. Można więc sobie wyobrazić, ile teczek z takimi sprawami leży w sejfach oficerów operacyjnych...

Ale jak mus to mus, trzeba będzie pokazać je wszystkie Panisku. Dobrze jeszcze, jeśli ten rzuci tylko okiem na teczki, upewni się, że materiały są, nie zaginęły, i da sobie spokój. Gorzej, jeśli zechce się z nimi szczegółowo zapoznać. Sprawdzić, czy jego podwładni równie sumiennie zajmują się nie tylko sprawami bieżącymi, lecz i dawnymi. A zatem materiały powinny być w absolutnym porządku. Dlatego też w ten śnieżny styczniowy dzień pracownicy sekcji zabójstw, zgrzytając zębami ze złości, odłożyli wszelkie, nawet najpilniejsze sprawy, i zajęli się papierową robotą.

O wpół do piątej teczki znalazły się w gabinecie Mielnika, który z miłym uśmiechem poinformował:

- Zapoznam się ze wszystkimi materiałami, a potem zwołam specjalną naradę w tej sprawie. Jesteście wolni.

Pracownicy rozeszli się do swoich zajęć, usiłując przynajmniej częściowo wykorzystać dzień, w większości stracony na nieprzewidziane porządkowanie teczek. Wciąż jeszcze utykając, Kola Siełujanow zaszedł do Nastii i już od progu zaczął się uskarżać na przeciwności losu.

- No co się dzieje, Aśka, do cholery, powiedz sama! Odkąd się zaczęła zła passa tamtym wypadkiem w listopadzie, tak trwa do dzisiaj. Mamy już nowy rok, a ona mnie nie opuszcza niczym wierna żona. Samochód odstawiłem do serwisu, obiecali zrobić na połowę grudnia, ale do tej pory nie jest gotowy, no i muszę kuśtykać po całym mieście na swojej przetrąconej nodze. Miałem zamiar pojechać dzisiaj do Federacji Koszykówki, tak jak chciałaś, no i proszę, Mielnikowi zachciało się sprawdzianu.

- Daj spokój, pojedziesz jutro - próbowała go ułagodzić Nastia.

- Dobrze ci mówić, na jutro mam akurat całkiem inne plany. Po drugie, Aśka, nie zapominaj, że nasz dusiciel to seryjny morderca, psychopata. Może w czasie kiedy my się tu grzebiemy w starych, zakurzonych teczkach, odwalając papierkową robotę, jego znów coś najdzie i sprokuruje ósmą ofiarę?

Nikołaj miał oczywiście rację. Praca nad zabójstwem, którego sprawca morduje konkretną, wybraną osobę z określonych powodów, zasadniczo różni się od działań mających na celu schwytywanie mordercy-maniaka. W pierwszym wypadku, gdy zabójca dokona już swego dzieła, dalsze jego postępowanie zmierza tylko do tego, by nie pozwolić się złapać i nie dać udowodnić sobie winy, maniakalny morderca natomiast nie zadowala się osiągniętym już celem, lecz nadal zabija, atakując w określonych odstępach czasu, dopóki nie zostanie schwytany na gorącym uczynku. Dlatego każdy dzień zwłoki groził nowym zabójstwem. Słabe pocieszenie stanowił jedynie fakt, że siedmiu seryjnych morderstw dokonano w ciągu dość krótkiego czasu, między 13 a 24 grudnia, a więc od znalezienia ostatniej ofiary minęło już ponad dwa tygodnie. Innymi słowy, można było mieć nadzieję, że zabójca, jeśli rzeczywiście jest człowiekiem psychicznie chorym, ma już za sobą zaostrenie choroby, wrócił do równowagi i w najbliższej przewidywalnej przyszłości nikogo nie zaatakuje. Jednak z ludźmi chorymi psychicznie nigdy nic nie wiadomo na pewno...

- Jak tam twoje złamanie? - spytała Nastia.

- Bolał - westchnął Kola. - Zwłaszcza na zmianę pogody. Nie wiesz, jak długo jeszcze będę się tak męczył?

- Całe życie. - Nastia uśmiechnęła się. - Może ból nie będzie tak silny, ale całkiem nigdy nie minie. Tak że bądź na to przygotowany.

- A toś mnie pocieszyła! No dobra, skoro dzisiaj nie udało mi się wybrać do tych koszykarzy, podszlifujmy trochę legendę. Jakoś nie bardzo mi ona leży. Jaki ze mnie

dziennikarz, no, powiedz sama. Na czole mam wypisane, że nie potrafię trzech zdań z sensem sklecić.

- No więc niech to będzie nie dziennikarz, tylko pracownik naukowy. Na przykład, psycholog społeczny albo specjalista z dziedziny psychologii klinicznej. Chociaż masz rację, Nikołasza, na pracownika naukowego też nie bardzo wyglądasz. Może mój pomysł nie jest tak dobry, jak mi się z początku wydawało.

- Nie, pomysł jest dobry, tylko wykonawca nie nadaje się do roli. A może by tak wysłać Miskę?

- Wiesz - ożywiła się Nastia - chyba masz rację! Mischeńka z powodzeniem może ująć i za dziennikarza, i za naukowca, mola książkowego. Gdzie on jest? Nigdzie jeszcze nie poleciał?

Siełujanow zerwał się z krzesła i utykając, wybiegł z gabinetu. Po pięciu minutach wrócił w towarzystwie Miszy, wysokiego, czarnookiego i bardzo sympatycznego oficera operacyjnego, który odznaczał się dwiema zaletami: doskonale potrafił odświeżać pamięć świadków i ofiar oraz elegancko i modnie się ubierał; zawsze wyglądał jak z igły. Miał też jeszcze jedną osobliwą cechę, o której wiedzieli jednak tylko jego koledzy - otóż odczuwał dziwny lęk przed Nastią, w jej obecności czuł się straszliwie skrępowany i zwracał się do niej z szacunkiem per „pani”, mimo że pracowali razem od pięciu lat i Anastazja nieraz go prosiła, żeby mówił jej po imieniu.

Misza Docenko również zajmował się sprawą dusiciela, dlatego Siełujanow z czystym sumieniem przerzucał teraz na niego obowiązek wizyty w Federacji Koszykówki.

- Według jednej z naszych roboczych hipotez zabójcy należy szukać pośród kobiet bardzo wysokiego wzrostu. Może to być na przykład koszykarka. Ponieważ nie ma ich zbyt wiele, stanowią wąski krąg, w którym informacje szybko się rozchodzą. A jako że są to mimo wszystko kobiety, chociaż bardzo wysokie, można mieć nadzieję, że informacje owe długo nie pozostają tajemnicą. Dlatego nie wolno nam

dopuścić, żeby zaczęło się gadanie o tym, że właśnie w tym środowisku szukamy seryjnej morderczynie. Lepiej od razu zamieścić o tym ogłoszenie w prasie, skutek będzie ten sam. Uzналиśmy we dwoje z Kola, że najrozsądniej wybrać się do nich pod pretekstem zbierania materiałów do artykułu lub jakiejś pracy naukowej. Temat: model życia w sporcie i jego wpływ na model życia poza sportem. Rozumiesz?

- Niezupełnie - przyznał się Misza.

- Wobec tego wyjaśnię ci to szczegółowo. Ponieważ sportowcy często popadają w kryzysy psychiczne albo nerwowe, musimy zbadać, czy kryzysy te wiążą się z modelem życia człowieka, który zajmuje się wielkim sportem, i czy ten model życia ma wpływ na to, jak taki człowiek radzi sobie później, kiedy już się wycofa z czynnego uprawiania swojej dyscypliny. Oraz czy rozstrój psychiczny lub nerwowy przeszkadza osiągać dobre wyniki w sporcie, czy na przykład schizofrenik albo psychopata może zostać mistrzem. I tak dalej, i tak dalej. Twoim zadaniem będzie uzyskać informacje o osobach, których przypadki potwierdzają tego rodzaju zależności.

- No dobra, rozumiem. A dokumenty?

- Masz, trzymaj. - Sielujanow wręczył mu legitymację dziennikarską, którą dostał dzisiaj rano i do której wklejono jego zdjęcie. - Idź do chłopaków, niech załatwią, żeby ją przepisali na ciebie. I poczytaj trochę, naucz się paru terminów fachowych, żebyś mógł uchodzić za specjalistę.

- Kola - z wyrzutem upomniała go Nastia - miejże sumienie.

- Ależ Anastazjo Pawłowno - uśmiechnął się promiennie Docenko. - To pani się boję, z Kola nie będę się patyczkował. Po prostu w pani obecności czuję się skrępowany i robię kulturalne miny.

Misza poszedł przerobić legitymację dziennikarską, która potwierdzała, że jest on pracownikiem pewnego mało znanego pisma. Kiedyś jego redaktor naczelny został napadnięty i silnie poturbowany, ale - trzeba mu to przyznać - choć

nie potrafił stawić oporu napastnikom, umiał okazać dość przytomności umysłu, by zapamiętać ich wygląd, ubiór oraz sposób mówienia, i to tak dokładnie, że napastników ujęto w ciągu doby, a skradzione pieniądze i przedmioty wróciły do właściciela. Od tej pory redaktor czuł się dozgonnym dłużnikiem wywiadowców z Pietrowki i zgodnie z cichą umową zawsze pozwalał im posługiwać się legitymacjami służbowymi pracowników swego pisma, solennie potwierdzając tożsamość samozwańczych żurnalistów, jeśli jakimś niedowiarkowi przyszło do głowy ją sprawdzić.

Do siódmej Nastia przesiedziała w pracy, rozmyślając nie tyle o przestępach i ich ofiarach, ile o tym, że dziś wieczorem jej mąż leci na prawie trzy miesiące do Stanów. Po długich sporach i niekończących się podliczaniach ich skąpych zasobów finansowych udało się jej namówić męża, by przyjął zaproszenie Stanford University, gdzie miał wygłosić cykl wykładów z dziedziny wyższej matematyki. Amerykanie płacili więcej niż przyzwoicie, można by więc wreszcie wyremontować mieszkanie i zrobić najpilniejsze zakupy, z którymi doprawdy trudno było dłużej zwlekać.

Losza miał przyjechać po nią kwadrans po siódmej i punktualnie o tej porze Nastia stała na ulicy obok wejścia na portiernię, zastanawiając się, czy przyjdzie jej tu marznąć tylko piętnaście minut, czy też pół godziny. Losza – przy wszystkich swoich niewątpliwych zaletach – spóźniał się wszędzie i zawsze, i można było uważać za wielki sukces, jeśli w ogóle zjawiał się na miejscu spotkania, a nie czekał gdzieś na drugim końcu miasta, kolejny raz wszystko popłatawszy. Na przykład Czertanowo z Czerkizowem, Biriulewo z Bibiriewem czy Szosę Dmitrowską z Wielką Dmitrowką. Nastia starała się brać pod uwagę tę jego osobliwą skłonność i nie wyznaczać mu spotkań w miejscach o „ryzykownych” nazwach, ale niekiedy i ona, choć znała Aleksieja już dwadzieścia lat, nie była w stanie przewidzieć absolutnie fantastycznych meandrów jego skojarzeń myślowych. Prywatnym rekordem Aleksieja Czistiakowa stało się dwugodzinne

oczekiwanie kogoś przy stacji metra Rzymska, podczas gdy miejscem umówionego spotkania miała być stacja Praska. „Przepraszam – tłumaczył się potem – bardzo przepraszam, pamiętałem, że chodzi o jakąś stolicę europejską”.

Na szczęście miejsca pracy Nasti Losza nie mógł raczej z niczym pomylić, pozostawała więc nadzieja, że spóźnienie jest jedynie wynikiem jego roztargnienia, braku poczucia czasu i nieuwzględniania takich przeszkód, jak korki na jezdniach. I tak właśnie było. Mąż Nasti spóźnił się zaledwie o dwadzieścia minut, co – wzięwszy pod uwagę opisaną wyżej osobliwość jego charakteru – można w zasadzie uznać za przybycie punktualne. Kiedy Nastia zobaczyła, że Aleksiej przyjechał własnym samochodem, zirytowała się nie na żarty. Była przekonana, że na lotnisko podrzuci ich któryś z przyjaciół czy krewnych, a Losza zostawi swój wóz w garażu przy domu rodziców. Tymczasem okazało się, że to ona sama będzie musiała prowadzić z lotniska do domu, a potem jeszcze się martwić, co dalej z samochodem.

– Loszka, no powiedz, dlaczego... – zaczęła przygnębiona Nastia, wchodząc do nagrzanego wozu.

– Nie marudź – przerwał jej energicznie mąż. – Przyzwyczajaj się do życia automobilisty. Jak wrócę, kupię ci samochód.

– A na diabła mi on potrzebny! – zdenerwowała się Nastia. – Wiesz, że nie znoszę prowadzić. I w ogóle boję się samochodów. Metro całkowicie mi wystarczy. Jadę sobie i jeszcze po drodze czytam książkę. O nic się nie muszę martwić. Jeżeli ci tak dużo zapłacą, kup lepiej sobie nowy wózek, bo w tym się ledwie mieścisz, siedzisz z kolanami pod brodą, aż żal patrzeć, zgięty we dwoje.

– Dobrze – rzekł Losza pojednawczo – jak przyjadę, obgadamy sprawę.

– Dobryś sobie! A ciekawa jestem, co mam zrobić z tym samochodem? Nie spać po nocach ze strachu, że go ukradną? Bo jeździć nim tak czy owak nie będę.

- No dobrze, jeżeli nie będziesz, to odstaw go do moich staruszków do garażu. Asieńko, nie złość się, miałem dziś takie urwanie głowy, że naprawdę nie zdążyłem tego zrobić. Sama wiesz, że przed wyjazdem zawsze coś niespodziewanie wyskoczy, jakaś niezalatwiona sprawa.

- W porządku, odstawię – łagodniejszym tonem odezwała się Nastia.

Na Szeriemietiewo przyjechali punktualnie, właśnie ogłoszono przez megafon, że zaczyna się odprawa pasażerów odlatujących do Stanów. Ale kolejka oczekujących była już bardzo długa.

- Może nie warto, żebyś czekała? – zapytał niepewnie Aleksiej. – Popatrz tylko, jaki tłum. Pożegnajmy się i jedź do domu.

- Co to, to nie – zaśmiała się Nastia. – Muszę się na własne oczy przekonać, że przeszedłeś kontrolę celną.

- A po co? – zdziwił się Aleksiej. – Nie spodziewam się żadnych nieprzyjemnych niespodzianek.

- Nigdy nic nie wiadomo. Nie było mnie przy tym, jak pakowałeś walizkę. Znam cię, słoneczko, wiem, co potrafisz.

- No, co na przykład?

- Na przykład, czy zabrałeś ze sobą spirytusowy tonik przeciw uczuleniom?

- Oczywiście, nie ruszam się bez niego. Gdybym użył innej wody, momentalnie by mnie obsypało.

- A tabletki przeciwalergiczne?

- Naturalnie. Nie obawiaj się, z leków niczego nie zapomniałem.

- To ty się powinieneś obawiać, kolego, ponieważ celnik z pewnością cię zapyta, co jest w buteleczce, i każe ci ją wyjąć i otworzyć. A jak cię znam, położyłeś ją na samym dnie walizki. I na oczach zdumionej publiczności będziesz grzebał w rzeczach i wstrzymywał całą kolejkę. A w walizce wszystko zostanie przewrócone do góry nogami. Więc póki jeszcze jest czas, odejdz na bok i przepakuj ją, tak żeby te rzeczy, które mogą budzić wątpliwości, leżały na samym

wierzchu. Notatki do wykładów też tam położy, celnicy czasami sprawdzają, czy nie wywozi się jakichś tajnych materiałów. Idź, idź, przepakuj bagaż, a ja ci zajmę miejsce.

Aleksiej oddalił się, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach, Nastia zaś stanęła w kolejce do odprawy, zapaliła i z nikłym zainteresowaniem zaczęła obserwować odlatujących i odprowadzających. Udało jej się podzielić wszystkich w długiej kolejce na kilka grup według ubrania, wyrazu twarzy i ilości bagaży: tych, którzy wybierali się w odwiedziny, tych, którzy z nich wracali, a także tych, co lecieli do Stanów służbowo lub przyjechali właśnie z podróży w interesach. Nastia próbowała postawić się na ich miejscu i ze zdziwieniem stwierdziła, że nie ma najmniejszej ochoty dokądkolwiek wyruszać. W ogóle była strasznym leniem i najbardziej na świecie lubiła dwa miejsca – kanapę we własnym mieszkaniu i swój służbowy gabinet. A co się tyczy dalekich podróży, trzeba by Bóg wie jakich szczególnych okoliczności, żeby się ruszyła. Ze służbowego wyjazdu do Włoch pozostały jej miłe wspomnienia, ale więcej nigdzie za granicą nie była. Oczywiście, chętnie by zobaczyła Paryż, zamki nad Loarą, Wenecję, Florencję czy Wiedeń... ale tylko wówczas, gdyby można było to zrobić, nie ruszając się z kanapy!

Kiedy Czistiakow wrócił, Nastia była w połowie kolejki do mającego w oddali stanowiska kontroli celnej.

– No! Zrobiłem, jak kazałaś – zameldował męż. – Teraz już nie ma sensu, żebyś czekała. Idź, Asieńko, jest dziesiąta, i tak do domu dotrzesz dopiero koło jedenastej.

– Nie, poczekam – sprzeciwiła się. – Jeszcze różne rzeczy mogą się zdarzyć. Może trzeba będzie ci pomóc. Pół godziny w tył czy w przód nie gra roli.

– Na dworze jest minus dwadzieścia stopni – przekonywał żonę Aleksiej. – Silnik zamarznie, stracisz kupę czasu, żeby go rozgrzać, zanim ruszysz. Im dłużej wóz będzie stał na mrozie, tym będzie gorzej... No, Asiu...

– Nie. Nie wyrzucisz mnie, Czistiakow. Chyba że masz pożegnalne spotkanie z jakąś damą?

- Cała ty! - Aleksiej z rezygnacją machnął ręką. - Nie można cię przegadać. Twój upór jest silniejszy od ciebie.

- Znowu wszystko pokręciłeś - zaśmiała się Nastia. - Nie upór, tylko lenistwo.

Kolejka nagle zaczęła się posuwać o wiele szybciej; nie minęło dziesięć minut, a Aleksiej już podawał celnikowi paszport, deklarację i pozwolenie na wywóz dewiz. Nastia miała rację, czujny funkcjonariusz zwrócił uwagę na butelczkę z tonikiem, polecił wyjąć ją z walizki i otworzyć. Losza przez ramię rzucił zdumione spojrzenie żonie. Nastia mrugnęła do niego w odpowiedzi.

- Dlaczego obrączka nie została wpisana do deklaracji?
- zapytał surowo celnik.

Nastia skarciła się w duchu. No cóż, nie dopilnowała - i znowu wpadka. Loszka oczywiście wpisał, że nie wiezie żadnych wyrobów z metali szlachetnych. O obrączce naturalnie zupełnie zapomniał.

- Przecież to obrączka ślubna - odpowiedział speszony.

- Ale złota - rzekł z naciskiem funkcjonariusz. - Albo wpisze ją pan do deklaracji, albo proszę oddać odprowadzającym.

Nastia zrobiła krok w stronę barierek stanowiska i dotknęła ramienia męża.

- Losza, daj mi obrączkę.

Czistiakow odwrócił się i rzucił jej piorunujące spojrzenie.

- Wpiszę ją do deklaracji.

Nastia cofnęła się. Ależ z niej idiotka! Jak w ogóle mogła pomyśleć, że Loszka zdejmie z palca obrączkę! Nie zrobiłby tego za nic na świecie. Zbyt dobrze знаła swojego męża i wiedziała, że obrączki ślubnej nie dałby sobie odebrać nawet za cenę życia. Profesor matematyki, trochę oschły, czasem wręcz denerwująco logiczny, bywał niekiedy zaskakująco sentymentalny, zwłaszcza w kwestii swojego małżeństwa. Tak długo czekał na Nastię, tak długo namawiał ją, by za niego wyszła, że teraz obrączka na palcu stała się dla niego

symbolem i jednocześnie talizmanem, z którym w żadnych okolicznościach nie potrafił się rozstać.

Celnik przystawił pieczątki w uzupełnionej deklaracji i zwrócił Loszy dokumenty. Czistiakow chwycił walizkę, zrobił parę kroków do przodu, odwrócił się, odnalazł wzrokiem Nastię i pomachał do niej. Ona zrobiła to samo. „No i w porządku, niemal bez żadnych przygód” – pomyślała z ulgą.

Przepowiednia męża się sprawdziła. Silnik zamarzył tak, jakby wóz stał na mrozie co najmniej tydzień. Ale Nastia Kamińska potrafiła nie irytować się i nie złościć z powodu okoliczności, na które nie miała wpływu. Dlatego też cierpliwie rozgrzewała silnik, wróciwszy jednocześnie myślami do dusiciela psychopaty, który w ciągu dwóch tygodni zamordował siedem osób. I im dłużej o tym myślała, tym silniejsze stawało się jej przekonanie, że to jednak nie ON, tylko ONA.

*

Tryb życia Jewgienija Parygina ukształtował się wiele lat temu i od tamtych czasów praktycznie się nie zmienił. Parygin wstawał o szóstej, robił dość skomplikowaną gimnastykę, potem odbywał półgodzinny jogging, po przebieżce brał prysznic, zjadał obfite śniadanie i szedł do pracy. Albo zostawał w domu, jeśli to był wolny dzień czy święto. Parygin odznaczał się doskonałym, godnym pozazdrosczenia zdrowiem. Jedynie przed wirusem grypy jego organizm nie potrafił się obronić. Jeśli w Moskwie wybuchała kolejna epidemia, nieodmiennie chorował mimo skrupulatnie podejmowanych działań profilaktycznych – zażywania witamin oraz jedzenia dużych ilości cebuli i czosnku.

W tym roku, gdy tylko nadano przez radio pierwsze ostrzeżenie służb medycznych o nadciągającej epidemii wybitnie złośliwej odmiany grypy, przebiegającej z wysoką gorączką i objawami zatrucia, Jewgienij natychmiast zaczął łykać garściami witaminy i opychać się na noc znieprawioną cebulą, ale i tak powaliła go blisko czterdziestostopniowa temperatura oraz męczące nudności. Cztery dni minęły

niczym w koszmarnym śnie, potem jednak krzepki organizm zaczął brać górę nad chorobą i Parygin szybko ją przychodzić do siebie. Lekarz z przychodni rejonowej wypisał mu zwolnienie od razu na dziesięć dni, dlatego Jewgienij z czystym sumieniem mógł nie chodzić do pracy. Dzisiaj miał już ósmy dzień, Parygin czuł się zupełnie dobrze, więc z przyzwyczajenia wstawszy o szóstej rano, przystąpił do gimnastyki, snując jednocześnie plany na resztę dnia. Ani razu w ciągu ostatnich trzydziestu lat z przeżytych czterdziestu ośmiu Jewgienij Parygin nie rozpoczął dzionka, nie mając w głowie dokładnego planu działania i listy spraw do załatwienia.

Z biegania postanowił dzisiaj zrezygnować, pamiętając, że wysoka gorączka osłabia serce. Nie warto szarżować, bo potem może się to niekorzystnie odbić na ogólnej formie. Po gimnastyce Parygin wziął prysznic i z przyjemnością zabrał się do przygotowywania śniadania. Żadnej jajecznicy, tym niech się żywią zatwardziali starzy kawalerowie, którzy nie troszczą się o poziom cholesterolu we krwi. Żadnych ugotowanych naprędce parówek, w których i tak nie ma mięsa, tylko diabli wiedzą co pół na pół z papierem toaletowym i zmielonymi chrząstkami. Po pierwsze – koniecznie – owsianka. Owsianki Parygin nie cierpiał, ale mężnie jadł ją codziennie rano, by zapobiec chorobom przewodu pokarmowego. Dobrze przynajmniej, że w ostatnim roku pojawiły się w sklepach angielskie płatki owsiane z dodatkiem owoców i orzechów. Nie trzeba ich gotować, wystarczy tylko zalać wodą lub mlekiem, i w smaku są o wiele lepsze niż kasza, jednakże Jewgienij pozwalał sobie na taki luksus bynajmniej nie codziennie. Przecież wartości lecznicze zawarte są nie tylko w rozlicznych witaminach i substancjach mineralnych, chodzi również o to, że kasza – to kasza; gorąca, półpłynna, dobroczynnie działa na ścianki żołądka. Po drugie, stałymi składnikami śniadania były oliwki, jedna kanapka z czarnym kawiozem i jeden średniej wielkości owoc granatu. O hemoglobinę także należy zadbać, w przeciwnym razie człowiek

słabnie, a sił Jewgienij potrzebuje zawsze. Po trzecie, Parygin pijał rano herbatę bez cukru, ale za to z suszonymi morelami i rodzynkami dla podtrzymania aktywności mięśnia sercowego. Na zakończenie posiłku zaś zjadał garść orzechów włoskich. Człowiek nigdy nie wie, co uda mu się zjeść na obiad i gdzie będzie spożywał kolację, dlatego wszystkie produkty konieczne do utrzymania organizmu w formie Jewgienij wołał mu dostarczyć rano, żeby mieć pewność, iż nie będzie niespodzianek.

Zmęczył już owsiankę i z zadowoleniem przystąpił do o wiele atrakcyjniejszych komponentów posiłku, kiedy zatelefonowała Lolita.

- Żenia, nie wiem, co robić - zajęczała. - Tamci znowu dzwoniли. Powiedzieli, że jeśli nie zorganizuję pieniędzy, dobiorą się do Sieriożeńki.

- Rozumiem. Jaki termin wyznaczylі tym razem?

- Tydzień. Jeżeli do tego czasu nie będzie pieniędzy, to oni...

- Powiedziałem przecież: rozumiem. Nie panikuj, Lola. Gdzie dzisiaj będziesz? W pracy?

- A gdzież by? Zaraz wychodzę. Byłam już w drzwiach, kiedy zadzwonili.

- Wpadnę do ciebie. W porze obiadowej.

- A ty nie idziesz do pracy?

- Jestem na zwolnieniu. No, to leć, bo się spóźnisz.

Odłożywszy słuchawkę, Parygin wrócił do nieśpiesznego pojadania oliwek. Lolita była żoną jego stryjecznego brata, pechowego biznesmena. Przy czym pechowego do tego stopnia, że skończyło się to wszystko tragicznie. Brat, namówiony przez jakiegoś mało znanego osobnika, wplątał się w zakup hurtowych ilości masła, które później miało zostać rozprzedane dalej. Wspomniany typ zapewnił, że za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów można ściągnąć wagony z towarem i na jego sprzedaży zarobić, zgodnie ze wstępnymi obliczeniami, około szesnastu tysięcy. Przedstawił nawet próbkę proponowanego produktu. Brat, chłop niegłupi, ów towar,

pocięty na zgrabne kostki i efektownie opakowany, pokazał przedsiębiorcom z branży spożywczej, i wszyscy oni jak jeden mąż orzekli, że produkt jest dobrej jakości, a oni chętnie go zakupią po proponowanej cenie (która pozwoliłaby jednocześnie osiągnąć przewidywany zysk). Pomysłodawca całej operacji nie miał w niej udziału finansowego, uzgodnił jedynie procent, jaki otrzyma w wyniku pomyślnej realizacji przedsięwzięcia, więc brat Parygina zaczął gorączkowo, na wszystkie strony pożyczać pieniądze. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, czyli wcale niemało. Rozumie się, na procent, inaczej dziś nikt nie robi. Dalej wszystko potoczyło się w sposób prosty i łatwy do przewidzenia. Towar przyjechał. Jednakże okazał się, po pierwsze, zupełnie innej jakości, a poza tym – luzem, niekonfekcjonowany. Brat musiał wynająć magazyn-chłodnię i zatrudnić ludzi do paczkowania. Ale na masło i tak nie było chętnych, nabywcy gdzieś zniknęli. Typ, który namówił brata Parygina do transakcji, również przepadł. Towar leżał w magazynie, za co też trzeba było płacić. A procenty rosły, rosły, rosły...

I urosły do niewyobrażalnych rozmiarów. Wierzyciele zaczęli żądać od brata Parygina zwrotu długów lub choćby – na początek – procentów. Dłużnik sprzedał wszystko, co mógł, dopożyczył gdzieś jeszcze trochę pieniędzy i spłacił procenty. Za parę miesięcy jednak wierzyciele znowu go naszli, domagając się zwrotu rosnących na nowo procentów, a najlepiej – całej pożyczonej sumy. Krótko mówiąc, facet zrozumiał, że wpadł na dobre i sytuacja jest bez wyjścia. W swej naiwności sądził, że skoro zawinił on sam, odpowiedzialność ciąży tylko na nim. Przystawił więc sobie łufę do skroni i nacisnął spust. Nie wiedział jednak, że wspomniana wyżej zasada moralna nie obowiązuje bynajmniej w otaczającym go świecie. O jakich tu zresztą zasadach moralnych może być mowa, skoro w grę wchodzi takie pieniądze. Jeśli nasz dłużnik strzelił sobie w łeb, weźmiemy się do jego żony. Niech zdobędzie forszę. Nikogo to nie obchodzi, że żona nie zajmuje się biznesem, została sama z siedmioletnim synem

i w ogóle nie śmierdzi groszem. Nawet sprzedać nie ma co, ponieważ wszystko, co można było spieniężyć, spieniężył już zmarły mąż.

Parygin ze swoim stryjecznym bratem przyjaźnił się od dziecka. I chociaż o przygodach z masłem nic nie wiedział – bo gdyby wiedział, poinstruowałby kuzyna w porę – bardzo się przejął sytuacją Lolity. Miał możliwość zdobycia pieniędzy i obiecał wdowie, że uczyni wszystko, co się da, w tej przykrew sprawie. Jednakże szansa na zdobycie gotówki rozplynęła się i trzeba było myśleć, jak by tu szybko zdobyć potrzebną sumę, która obecnie osiągnęła już wysokość prawie czterdziestu tysięcy dolarów.

Wyławiając z kubka rozmoczone, bladopomarańczowe morele, Jewgienij doszedł do wniosku, że trzeba zamelinować Lolitę razem z synem w mieszkaniu, gdzie natarczywi wierzyciele ich nie znajdą. Na jakiś czas, oczywiście, dopóki on nie zdobędzie szmalu.

Skończywszy swoje solidne, zdrowe śniadanie, Parygin ubrał się i właśnie się zastanawiał, którą kurtkę włożyć, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. „Na pewno lekarz z przychodni – pomyślał Jewgienij. – Dobrze, że jeszcze mnie zastał w domu. Może mi przedłuży zwolnienie”.

Okazało się jednak, że to wcale nie lekarz. Do mieszkania wdarło się trzech facetów, którzy w mgnieniu oka wepchnęli gospodarza do pokoju.

– Jewgienij Iljicz Parygin? – zapytał jeden.

– Przypuśćmy, że tak – odrzekł spokojnie zagadnięty.

Prawie nie czuł strachu. Napad rabunkowy – to bez sensu; żadnych pieniędzy ani wartościowych przedmiotów w mieszkaniu nie było. A jeśli to milicja, Bóg z nimi. Z pracownikami milicji potrafił rozmawiać i nigdy się ich specjalnie nie obawiał.

Pierwszy cios, w splot słoneczny, został wymierzony błyskawicznie. Parygin odruchowo zgiął się wpół i osłonił szczękę przed następnym uderzeniem. Co do tego, że przybyli będą celować właśnie tam, nie miał najmniejszych

wątpliwości. Uderzenie w twarz zawsze odbiera pewność siebie, choćby nawet nie było zbyt bolesne. Z pewnym trudem przychodziło Paryginowi trzymać się w ryzach i nie wdawać w bójkę. Po co te bysiorzy miałyby wiedzieć, że ciosu w spłot słoneczny prawie nie poczuł? Dzięki specjalnej gimnastyce, którą uprawiał od wielu lat, wytrenowane mięśnie jego brzucha z powodzeniem zastępowały tarczę ochronną.

Parygin udał, że z wysiłkiem unosi głowę, i spytał zająkliwie:

- Czego ode mnie chcecie?

- Żebyś się przyznał – rzeczowo oznajmił najniższy i zaczął otwierać dużą sportową torbę.

- D-do czego?

- Do zabójstwa. Zaraz nam opowiesz, jak pół roku temu dokonałeś zabójstwa obywatela Szepielowa i jak udało ci się zamydląć oczy milicji. A potem wyjdziemy. I koniec. Widzisz, jakie to proste? I w dodatku nie będzie bolało, jeżeli tylko będziesz grzecznie się zachowywał.

Parygin wyprostował się i zrobił krok do tyłu, w stronę okna, jak gdyby cofając się w oszołomieniu.

- To jakaś pomyłka... Nikogo nie zabiłem...

- No tak, jasne – zgodził się ten wyższy i szerszy w barach. – Już to mówiłeś milicji, kiedy cię zgarnęła. Tak że nam tych bajek nie musisz powtarzać, nie interesują nas.

Kilka kolejnych ciosów trafiło w korpus. Napastnicy bili byle jak, bez agresji. Jewgienij zręcznie udawał, że odczuwa ból, przeczekał pięć czy sześć uderzeń, po czym wybelkotał:

- Dobrze... Nie bijcie więcej... Powiem.

Leżał na podłodze, tuż pod oknem, buchający ciepłem kaloryfer przyjemnie grzał jego ramię obciążone cienką trykotową koszulką. Parygin wyciągnął rękę w stronę stojącego najbliżej krzesła, jak gdyby szukając oparcia. Przysunął krzesło do siebie, błyskawicznie zerwał się na nogi i z całej siły rąbnął nim w szybę okienną. Goście osłupieli. Parygin mieszkał na pierwszym piętrze i dobrze widział, jak wokół leżącego na chodniku krzesła zaczynają się gromadzić

przechodnie. Ludzie zadzierali głowy i pokazywali sobie wzajemnie wybite okno. Nawet głosy z dołu było słychać:

- Coś się musiało stać...
- Pewnie jakaś bójka...
- Trzeba by wezwać milicję...
- Może kogoś mordują...
- A tam, akurat, popili się i tyle...

Pierwszy opamiętał się niski, który przedtem zdażył wyjąć ze swojej olbrzymiej torby kamerę wideo.

- Spadamy – zakomenderował krótko, już z kamerą pod pachą.

Przy samych drzwiach odwrócił się i wysyczał złowieszczo:

- No, skurwielu, jeszcze do ciebie przyjdziemy. To nie będzie miła wizyta.

Jewgienij spoglądał za nimi w milczeniu. Potem znów odwrócił się do okna i poczekał, aż goście wyjdą i wsiądą do samochodu – zwykłego żiguli w brudnobiałym kolorze. Wóz stał tak, że numerów nie udało się Paryginowi odczytać.

Teraz trzeba było się zająć oknem. Dopiero potem – usiąść i spokojnie wszystko przemyśleć. Parygin zadzwonił do znajomego, który takie problemy jak stłuczona szyba rozwiązywał w ciągu godziny. Facet nie zawiódł; także i tym razem oszklenie okna nie trwało dłużej.

Mieszkanie jednak było spalone. Parygin szybko spakował do torby najpotrzebniejsze rzeczy, wziął dokumenty i książeczkę oszczędnościową, jeszcze raz obrzucił spojrzeniem domostwo, które zamierzał opuścić na czas nieokreślony, starannie zamknął drzwi i wyszedł z domu. Na ulicy wyrzucone przez okno krzesło nadal leżało na chodniku. Ludzkiej ciekawości i gotowości przyścia z pomocą nie starczyło na długo, nawet milicji nikt nie wezwał. Ale w każdym razie numer zadziałał.

Jewgienij skierował się do banku, gdzie podjął z konta pięć milionów. Na jakiś czas wystarczy, a później się zobaczy.

Wysiadając z samochodu, Wasilij Walerianowicz z całej siły zatrzasnął drzwi, usiłując wprawić się w stan irytacji i niezadowolenia. Tu, w centrum szkolenia, wszyscy chodzili po cywilnemu, człowiek w mundurze nie mógł się pojawić w tych murach w żadnych okolicznościach, a jednak młody chłopak za barierką przy wejściu zerwał się i wyprężył przed nim jak struna.

- Zaprowadzić pana?

- Sam trafię - burknął Wasilij Walerianowicz, doskonale wiedząc, że gdy tylko zniknie za zakrętem długiego korytarza, chłopak natychmiast chwyci za słuchawkę i zamelduje Stojanowowi, że idzie do niego szef i jest w złym humorze.

Tak też się stało. Z wyrazu twarzy Stojanowa Wasilij Walerianowicz od razu wywnioskował, że ten został już uprzedzony o nadciągającej burzy. Jego uśmiech był zdecydowanie zbyt uprzejmy i serdeczny. W milczeniu zdjawszy palto i pańskim gestem rzuciwszy je na ręce Stojanowa, Wasilij Walerianowicz przemierzył gabinet i usiadł za biurkiem naczelnika.

- Gdzie twój zastępca? - zapytał sucho, spoglądając w bok.

- U siebie. Mam go wezwać?

- Wezwij. I powiedz, żeby przynieśli herbaty, zimno tu u was.

Parę minut później do gabinetu wszedł Zielenin, niewysoki, rumiany, krzepki mężczyzna o wesołej twarzy i nieoczekiwanie chmurnym wejrzeniu. W ślad za nim wśliznęła się przystojna młoda dziewczyna z tacą, na której stał dzbanek z herbatą, cukiernica i szklanka oraz miseczka z cukierkami. Wasilij Walerianowicz bez pośpiechu nalał sobie herbaty, osłodził ją i długo, niewypowiedzianie długo mieszał, podzwaniając łyżeczką o szklankę. Nie miał ochoty wdawać się w analizę sytuacji, nie czuł się w nastroju. Rozumiał wszakże, iż włączając się do gry, trzeba ją prowadzić do

ostatniego gwizdka, a nie schodzić z boiska w samym jej środku, i to tylko dlatego, że nagle się człowiekowi odechciało.

- A więc, drodzy panowie, proszę o wyjaśnienie, dlaczego - jeśli chodzi o nową rekrutację - zdarzyły się wam dwie wpadki z rzędu. Najpierw nie potrafiliście wymyślić nic lepszego, niż narwać się na informatora Pietrowki, i nasi dzielni przyjaciele z milicji będą teraz stawać na głowie, by wyjaśnić przypadek Nikity Mamontowa. A dzisiaj nowa afera. Jak to należy rozumieć?

- Wasiliju Walerianowiczu - zaczął Stojanow - nie dysponowaliśmy żadnymi danymi, że Mamontow był informatorem któregoś z...

- To nie jest usprawiedliwienie! - podniósł głos Wasilij Walerianowicz. - Nawet nie mogliście nimi dysponować, zwłaszcza jeśli chodziło o dobrego agenta. Jednakże, przyjmując swój system rekrutacji, powinniście to byli przewidzieć. To ty, Grigorij, całe życie przepracowałeś w milicji, a nie ja. I twoją rzeczą było zdawać sobie sprawę, jakie mogą wyniknąć komplikacje. Twoją, niczyją inną, tylko twoją. Co ty jesteś, dziecko? Nie wiedziałeś, że informatorów werbuje się spośród elementu kryminalnego? Powinieneś był przewidzieć, że wyszukując kandydatów na szkolenie, można natknąć się na kogoś takiego, jak ten Mamontow.

- Przepraszam - mruknął Stojanow. - To moja wina.

- Oczywiście, że twoja! A dzisiejszy incydent? Dlaczego nikt nie wpadł na to, że facet może działać całkiem przytomnie i wzywać pomocy? A gdyby tak milicja była akurat w pobliżu? Przyzwyczailiśmy się, że jeśli ktoś jest w coś umoczoney, siedzi cicho i ani mru-mru. Ale dzisiaj ludzie są inni, nie dają sobie w kaszę dmuchać. Co o nim wiedziałeś, kiedy zdecydowałeś się wysłać do niego swoich przygłupów?

- Mieliśmy informacje, że podejrzewa się go o zabójstwo, którego dokonano pół roku temu. I podejrzewa nie bez podstaw. Wywiadowcy mieli dobre źródła, potwierdzające jego udział w sprawie, ale dowodów niezbędnych do wdrożenia

śledztwa i skierowania sprawy do sądu nie znaleźli, dlatego Parygina zwolniono.

- Zwolniono, zwolniono - powtórzył ze złością Wasilij Walerianowicz. - Zwolniono, ale i tyś go nie potrafił przy-skrzynić. A w ogóle, skąd przekonanie, że ci z kryminalnego nigdy się nie mylą? Przecież pracowałeś tam, więc sam po-winieneś wiedzieć, że mylą się o wiele częściej, niżbyśmy chcieli. Może niesłusznie go podejrzewali i cały ten Parygin jest czysty jak lza. I teraz, podczas kiedy wy mi tu opowia-dacie, jaki to z niego złoczyńca i morderca, on już siedzi na milicji i pisze skargę na bandytów, którzy włamali się do jego mieszkania i żądali, żeby się przyznał do Bóg wie czego. Nie, Grigorij, to na nic. Trzeba coś zmienić w twojej meto-dzie. A ty co powiesz? - zwrócił się do Zielenina.

Zielenin długo w milczeniu patrzył na Wasilija i dopiero po dobrej chwili raczył się odezwać:

- Jeżeli pan pozwoli, Wasiliju Walerianowiczu, przedsta-wię swój punkt widzenia. Chcę też od razu uprzedzić, że nie jest on zgodny z punktem widzenia Grigorija Iwanowicza.

- No dobrze, mów - zgodził się łaskawie Wasilij.

- Od samego początku byłem przeciwny temu, żeby rekrutować kandydatów ze środowiska przestępczego. Po-nadto sprzeciwiałem się również koncepcji, by przygotowy-wać ich w zamkniętym centrum szkolenia, w reżimie kosza-rowym. Bez względu na to, jaki jest cel tej edukacji, każdy absolwent powinien po jej zakończeniu otrzymać legendę, a jeśli komukolwiek przyjdzie do głowy, by ją sprawdzić, te cztery miesiące, które facet spędził tutaj, od razu wypłyną. Cztery miesiące absolutnej nieobecności, izolacji - to bez wątplenia zaniepokoi sprawdzającego. I jeszcze jeden ele-ment, nie mniej ważny. Życie toczy się bardzo szybko, wy-starczą nawet te cztery miesiące, żeby zostać w tyle. Czło-wiek oderwany na tak długi czas od bieżących spraw nigdy nie zrekompensuje sobie w pełni tej wyrwy. Nawet jeśli co-dziennie będzie czytał gazety i oglądał telewizję, i tak prę-dzej czy później popełni jakiś błąd, gafę, która specjaliście

od razu pozwoli się zorientować, że faceta nie było w tym czasie w Moskwie. I zacznie dopasowywać fragmenty układanki. Oczywiście, pytany będzie się starał czymś wytłumaczyć swoją niewiedzę czy brak orientacji, ale jeśli tylko się chce, zawsze można to sprawdzić i przyłapać go na kręctwie. Osobiście uważam, że szkolenie powinno przebiegać w normalnym systemie stacjonarnym, nauka tylko w dzień, bez skoszarowania. Jeśli chodzi o nabór kandydatów, to uważam, że powinno się ich rekrutować spośród osób, które nigdy nie znalazły się w kręgu zainteresowania organów ścigania.

- To niesłuszna koncepcja - ostro sprzeciwił się Stojanow. - Powinniśmy dysponować narzędziem, dzięki któremu bez trudu uda nam się utrzymać człowieka pod kontrolą. Takim narzędziem może być tylko strach przed zdemaskowaniem. Właśnie dlatego wybieramy osoby winne ciężkich przestępstw, zmuszamy je do przyznania się i utrwalamy ich zeznania na taśmie. Potem faceci są już łagodni jak baranki. Inaczej w żaden sposób sobie z nimi nie poradzimy.

- No, właśnie widzieliśmy, jakie z nich baranki - wtrącił złośliwie Wasilij Walerianowicz. - Jeden w te pędy poleciał do oficera operacyjnego, z którym współpracował, żeby prosić o pomoc. A drugi poradził sobie bez niczyjej łaski. Powiem więcej. Te dwie wpadki sprawiły, że odwołałem się do fachowców, którzy zwrócili mi uwagę na interesującą rzecz. Istnieje mianowicie praktyka, że przestępstwa celowo się nie wykrywa, a niewątpliwego sprawcę wypuszcza na wolność w zamian za zgodę na udzielanie informacji. I wspomnianą praktykę stosuje się od dość dawna. Czy ty, Grigorij, wiedziałeś o tym?

- Pierwszy raz słyszę - ze zdziwieniem zaprzeczył Stojanow. - To niemożliwe.

- Możliwe, mój drogi, nawet bardzo możliwe. I realne. Jest, było i będzie. I wstyd, że ty, kadrowy milicjant, o tym nie wiesz. Ile lat przepracowałeś w wydziale kryminalnym?

- Dwadzieścia cztery.